





2





# SIEROTA.

WILSON & PUBLISHED BY

ZOFF & YOUNG.

# SIEROTA.

WILSON & PUBLISHED BY

WILSON & PUBLISHED BY

1877.

SIEROTA

SIEROTA

WESTMINSTER UNIVERSITY LIBRARY

# SIEROTA.

OBRAZEK Z POTOCZNEGO ŻYCIA

przez

ZOFIĘ YOUNG.



WARSZAWA.

WYDAWNICTWO MICHAŁA GLÜCKSBERGA

1877.

# СИЕРОТА.

ОБРАЗЪКЪ И ПОТОСЪМЪ ДЪЛА

1877

СОНЪТЪ ЮЛИЯ

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 17 Августа 1877 года.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20.

1877

Było śliczny dzień wiosenny, najłżejsza chmurka nieza-  
ciemniała lazuru nieba, wszystko w przyrodzie oddychało  
nowem życiem, wszystko się cieszyło świeżością zieleni.  
Ptaszki wesoło świergotały, unosząc się w przezroczem  
przestworzu widnokregu.

Miejsce w którem zaczyna się powieść nasza miało rów-  
nież szczególny powab. Było wprawdzie nie wielki ale  
schludny domek, który ze wszech stron otaczały góry jak-  
by zielonym wałem. Z pod gór wrywał się z szumem  
strumień czystej krynicznej wody, nad nim jakby wisiał  
ogromny kamień, wprawiając w zadziwienie mieszkańców,  
jaka to siła może taką bryłę utrzymać w tak dziwnie ma-  
lowniczem położeniu; a jednak do dziś dnia ów kamień  
nie zawalił źródła krynicy i nie przestając być podziwem  
mieszkańców, nie przeszkadza spokojnie czerpać im wody.  
Krynica wybiegając z pod skały wązkim korytem, jak-

by wstęgą roztacza się po zieloniutkiej łączce i pod same-  
mi oknami domku zlewa swe wody w niewielki stawek  
na którym stoi młyn. Z drugiej strony zasłania widok nie-  
wielka wioseczka ze swemi nowemi i staremi, schludnemi  
i nędzuemi chatami. Obok niej ciągnie się pod górę dro-  
ga jedyna w tem miejscu, i dopiero za górą spostrzeżesz  
ich więcej krzyżujących się na różne strony, ale ta ciągnie  
się presto i tylko lekkim wężykiem skręca na gorze lub  
z wąwozu znowu na górę się drapie; to rozwija się po po-  
lach usianych zbożem, to znowu ginie w młodych jak  
okiem dojrzyć zaroślach i znowu wyslizga się jak wąż  
przeciąwszy je w poprzek, zmierzając do schludnej wiose-  
czki z której dolatują ryki bydła i wesołe głosy swawolą-  
cych dzieciaków. Byłato niedziela i cała natura rzecby  
można przybrała na ten dzień świąteczne szaty, słońce  
chyliło się ku zachodowi nie przestając zsyłać na ziemię  
dobroczyнных swych promieni. Z domku wyszło dwoje  
ludzi, mężczyzna którego twarz zdobyły śliczne krucze wło-  
sy i czarne jak węgiel oczy; małe zgrabniutkie wąsiki śli-  
cznie odbijały od trochę śniadej twarzy, na której go-  
ścił wyraz jakiejś zadumy, nadając mu tem wdzięk niewy-  
mowny. Cała jego postać tchnęła taką godnością, miała  
w sobie coś tak dystyngowanego, a jednak nie trąciła ani  
trochę napuszoneości lub przesady. Ubiór skromny lecz  
gustowny dowodził iż jeżeli nie należał stanowiskiem swym  
w świecie do tak zwanej arystokratycznej klasy, niepo-  
wstydzilyby się go i najświetniejsze salony. Dziewczę,  
bo towarzyszka jego nie była więcej jak szesnasto lub  
siedmnastoletnie dziewczę, miało również oczy czarne  
spojrzenie powłóczyste i dziwnie łagodne; na sympa-  
tycznych rysach twarzy przebijał się smutek z wyrazem  
jakiegoś postanowienia. Na pierwszy rzut oka niezwr-

cała niczyjej uwagi i nikt by się niedomyślał, iż w tem młodem tak łagodnem dziewczęciu mieści się dusza jak wulkan wrząca lawą uczuć, iż w niej nie dusza płoczej dziewczeczki lecz kobiety, która już nieraz występowała do walki z życiem. Ciemna lecz gustowna sukienka uwydatniała jej postać. Bujne sploty ciemnych, gładko zaczesanych włosów kryła śnieżnej białości chusteczka. Oboje zmierzali zwolna ku owej drodze, stanąwszy nareszcie u szczytu góry, jakby zniewoleni jednaką niewidzialną a potężną siłą zatrzymali się i spojrzawszy raz jeszcze w stronę którą tylko co opuścili, westchnęli.

To: ach! mimowolnie i jednocześnie wydobywające się z ich piersi, jak dwa prądy elektryczne starły się z sobą, wstrząsając do głębi ich dusze.—Jak tu pięknie — wyrzekli znowu wrywając sobie wyrazy jak uprzednio westchnienie i oboje patrzyli z wielkiem zajęciem na pyszny krajobraz olśniony blaskiem zachodzącego słońca. W tym niemym zachwycie, w tym hołdzie oddanym pięknej naturze, oczy ich spotkały się z sobą i z równem a może i większem zajęciem niż na pyszny krajobraz spojrzały, bo na ten raz nie było słów ani westchnienia, aby określić go mogło.

— Wracaj pan — rzekła nareszcie dziewica po kilku chwilach milczenia— wracaj pan muszę spieszyć do domu, będą o mnie uiespokojni, przyrzekłam wrócić niebawem.

— Pozwoli pani sobie prosić— odrzekł mężczyzna, który w tej chwili jakby się ocucił z zadumania temi jej słowy—o niepozabawianie mnie tak prędko swego towarzystwa; czas tak piękny, cóżbym robił wróciwszy, a ten kawałek drogi który pani masz do przebycia, tak jest mało. Śmiem prosić panią, abyś nie wzgardziła



mem towarzystwem, chociaż doprawdy nudnem ono pani być musi.

— Nie wiem — rzekła z pomieszaniem dziewica — co mam panu na to powiedzieć. Ja tak prędko chodzę, że panu trudnoby ze mną zdażać, do tego to spory kawał drogi, a pan wracając będziesz go miał podwójnie, słońce się już schyla ku zachodowi, to za długi spacer, można się nim zmęczyć i jeszcze się pan przeziebi.

— O jeśli to tylko — zawołał wesoło — prędko iść nie raz mi się zdarzało, a znużenie o którym pani powiadasz jest mi niczem w porównaniu z przyjemnością jaką napełnia mię zawsze oddychanie świeżym balsamem drzew i napawanie się tak ślicznemi a tak rozmaitemi widokami w jakie okolica nasza z takim wdziękiem się przybrała. Ta częśćka naszej Litwy nieustąpi najpyszniejszym widokom Szwajcaryi; chcąc poznać w całym blasku piękność przyrody a zatem mądrość i dobroć jej Stwórcy nie mamy potrzeby jechać tak daleko. Ależ się zagadałem, służę pani—i to mówiąc pospieszył otworzyć wrota zagradzające drogę koło wioski. — Otóżeśmy już jedną górę przebyli —zawołał znowu—ale na drugą drapać się musimy. Gdybyż to tak człowiek i w życiu przebywał prędko góry przeszkód dzielące go od życzeń najdroższych.

— Zgodzisz się pan ze mną iż to pochodzi ztąd, iż nie takie góry i nie tak wygodną drogę ma pielgrzymka życia naszego. Nie raz przyjdzie do krwi się zranic o ciernie, któremi jest usiana, nie raz wstąpić w zapasy z zawziętym wrogiem—przeciwnością, i nie raz pokonanym pozostać. Szczęśliwy kto zwyciężcą wdrapie się na górę o której pan mówisz.

— Zdziwiał mię pani, czyż i pani znajomą już jest dro-



ga życia? Czyż i pani mogłabyś na nią narzekać? Ja myślałem że ona mnie tylko dała się we znaki.

— W istocie miałam dotąd wszystkie warunki osładzające tę biedną pielgrzymkę, przynajmniej tak mi się zdawało, pochodziło to może z niewiadomości, ale teraz to złudzenie zupełnie zniknęło, natomiast smutna rzeczywistość nastąpiła, może trochę w zbyt czarnym kolorze, ale prawdziwa. Nie wiem, ale mnie się zdaje iż nie raz w mem życiu przyjdzie ukryć krwawą ranę duszy, nie jedną w gruzy zagrzebać nadzieję i bez słowa żalu lub skargi, ze śmiechem na ustach, stąpać po jej zgliszczach. Widzisz pan straciłam już zupełnie illuzyę życia.

— Prawda smutne pani już przebyłaś koleje, stratę osób tak drogich i blizkich sercu. Ale mając taką mentorkę jaką pani masz w osobie panny Adeli, nie podobna tak się użalać na życie. Mieć przed kim wylać się ze smutkiem lub każdym żywszem wrażeniem duszy i być doskonale pojętą—czyż nie jest to już pewnym rodzajem szczęścia? Podczas gdy ja...

Dziewczę spojrzało nań uważnie, a w oczach jej błysnął ogień jakby przez małe otwory wulkanu.

— Czyż pan możesz to mówić, pan otoczony gronem rodzeństwa; możnaż porównać najlepszą mentorkę z tak rozsądnymi i zacnymi rodzicami jakimi Bóg pana obdarzył, do tego, kto ma kilku braci i siostrę może zawsze dzielić się z niemi każdym uczuciem, bez obawy bycia źle zrozumianym.

— To prawda, ale widok rodziców wzbudza we mnie zawsze wraz z poszanowaniem pewien rodzaj bojaźni, przed nimi nie śmiałybym nigdy o sobie mówić; co zaś do rodzeństwa będąc najstarszym, a zatem głową rodziny mu-

szą utrzymać powagę i nie wdawać się w żadne zwierzenia, to jeszcze dzieci.

Tu nastąpiło milczenie nie przerwane nawet szczebiotaniem ptaszka unoszącego się nad ich głowami, usta ich zamknęły się pod lodowatą ręką wspomnień rzeczywistości. Szli oboje zadumani z lekko schyilonemi ku ziemi głowami, i ani razu nie spojrzeli na śliczny krajobraz okalający ich zewsząd. Promienie zachodzącego słońca spoczywały na drzewkach zarośli, nadając barwę ich zieleni. Jakieś uroczyste milczenie panowało w całej naturze, jakby ona sama chciała podziwiać swą piękność. Droga zaczęła się schylać z pól kołyszących się zbożem, opasując zarośla, za nimi miała wkroczyć w ich środek. Nareszcie mężczyzna przerwał to dość długie milczenie mówiąc:

— Prawdaż to? iż my panią tracimy?

— Właśnie dla tego jedynie byłam dziś u krewnych pana, którzy są tak dla mnie serdeczni aby ich pożegnać. Nie mogłam się też oprzeć chęci uściskania raz jeszcze chrzestnej mej córeczki. Za kilka dni konie z N. uniosą mię ztąd może na zawsze.

— Przestraszasz mię pani, miałbyśmy ponieść taką stratę?

— Strata o jakiej pan mówisz nie jest tak wielką. Jednostka nie przyniesie wielkiego uszczerbku w towarzystwie.

— O! że uszczerbek wielki, nie ulega to żadnej wątpliwości. Łańcuch zer traci wiele na jednostce... Miałem przecucie ujrzenia dziś pani — rzekł po chwili — i na ten raz ono mnie nie zawiodło. Tak dużo miałem pracy za-

danej mi w biurze, iż myślałem cały dzień dzisiaj ślęczyć, ale udało mi się w nocy szczęśliwie ukończyć.

Wistocie kółko naszego towarzystwa trochę się zmniejsza, właśnie dzisiaj wyjechała panna Konstancya. Co to za miła panienka i chociaż tak niedawno ją poznałam, czuję dla niej najszczerzą przyjaźń. Jakie to szczęście, że właśnie teraz będziemy mogły bliżej się poznać, bo będę ją miała za sąsiadkę nie dalej jak o parę wiorst. Przyrzekłyśmy dziś solennie odwiedzać się często na nowych swych siedliskach.

— Panna Konstancya miłą jest wistocie, to także moja krewna. Ale i ja będę musiał opuścić te strony. Nieuwierzysz pani jak mi już dokuczyła ta niewdzięczna praca, nic nie pomaga najusilniejsze przyłożenie się do niej. Zwierzchność tak bezwzględna, iż jeśli widzi kogo akuratnie wykonywającego swą czynność, natychmiast mu ją podwoi, a gdy z wysiłkiem i to się wykona, potroić nie omieszka, a i sam pobyt w biurze ma nieraz przykrą stronę. O! ciężkie to życie—rzekł, jakby sam do siebie.

Dziewica podniosła nań oczy, lecz nagle opuściła ku ziemi, bo wzrok jej spotkał się z wzrokiem mężczyzny. Lekki rumieniec i drżenie dowodziło iż zrozumiała doskonale znaczenie tego spojrzenia. Mężczyzna nie przestawał jednak pożerać ją wzrokiem, który jak ostrze sztyletu przesywał jej serce.

— O długo bardzo długo bym jeszcze milczał — rzekł głosem wzruszonym— możebym nigdy nie wydał tajemnicy mego serca, ale dziś gdy zawistny los nas rozdziela, gdy na długo może rozstać się nam przychodzi, gdy nie

będę mógł liczyć chwil w których cię ujrzę, aby choć w milczeniu popatrzeć, aby uścisnąć twą rękę, nie mogłem wywalczyć na sobie, aby nie wyczytać z twych oczu wyroku, aby cię pożegnać bez słowa nadziei. O! spójrz pani jeszcze raz na mnie, niech z twych oczu wyczytam: czy mogę się spodziewać szczęścia na ziemi.

Dziewica podniosła nań oczy i na ten raz wytrzymała badawczy wzrok towarzysza. Była to niejako niema odpowiedź na zapytanie, które wyczytała w oczach jego, zanim usta wyrzec zdołały. Wspojrzeniu było tyle tak długo przez nią tajonej miłości, iż niepodobna było niedostrzedz.

— O dzięki ci pani—rzekł biorąc drżącą jej rękę.

— Chceszże abym była szczerą, abym otwarcie wyznała—rzekła z niejakiemś wahaniem — o, od bardzo dawna, bo od pierwszej chwili ujżenia sprzyjam panu. Długi czas walczyłam z uczuciem wzrastającym codziennie, lecz przekonawszy się iż ono silniejszym odemnie, iż chyba ostatecznie technienie wyrugować go potrafi, postanowiłam głęboko ukryć w sercu. Drżałam nie raz, byś nie dojrzał, byś nie odgadł stanu mej duszy. W tej chwili gdy się ziściły najdroższe me życzenia—dodała głosem w którym się przebijał głęboki smutek — smutne jakieś przecucie dręczy mię: te kilka chwil szczęścia będą może ostatecznymi w mem życiu.†

— Po cóż się mamy dręczyć—przerwał jej mężczyzna—po cóż zatruwać chwile szczęścia, gdy ich tak nie wiele jest w życiu. Prawda iż może na długo rozłączeni będziemy, iż długo przyjdzie nam ukrywać swe uczucia, ale cierpliwości i pracy, a pokonamy wszelkie przeszkody i dla nas dzień szczęścia zaświta. A teraz o jedną łaskę śmiem prosić — rzekł biorąc jej rękę i okrywając pocałunkami—



oto byś przestała nazywać mię panem zmieniając na krótsze *ty* i pozwoliła mi również siebie tak nazywać. Etykietę zostawmy dla świata i przed nim, gdzie jest ona, tam mało szczerości, a my przedewszystkiem szczerzy z sobą będziemy—i znowu osypywał jej ręce pocałunkami.

— Uprzedziłeś życzenia moje—odrzekła — wyraz *pani* nie mile mi brzmi z ust twoich, co zaś do szczerości dałam ci już jej dowód wyznając otwarcie to, co tak długo jak zbrodnię taiłam, choć możesz się i domyślał — rzekła spojrzawszy nań uważnie — O! gdybyś ty Wiktorze również był szczerym.

— Justeńko droga moja, możesz że wątpić iż nieszczerze przedstawiłem ci powody skłaniające mię do wyznania mojej miłości. Dzięki Bogu iż nie możesz sądzić przynajmniej: iż interes mógł tu być choć cieniem powodu, inaczey śmierci by się to równało.

I tak rozmawiając ani się obejrzeni, że droga wychyliwszy się z zarośli prowadziła prosto ku wiosce, i że właśnie do ogrodzenia ulicy się zbliżali.

— Ach! tóż już i wioska... — odezwała się Justyna.

— O jakże prędko chwile szczęścia mijają... Jakżeżbym pragnął całe życie iść tak z tobą — rzekł biorąc jej rękę i niosąc do ust, ale zadawszy gwałt sercu tu cię pożegnał dalej nie pójdę z tobą, a wiesz dla czego.

— Dla czegoż?

— Będzie to ofiara z mej strony na ołtarzu smutnej konieczności. Wiesz jak cię kocham, lecz więcej niż kiedykolwiek drogą mi jesteś, a dobra twa sława droższą nad życie. Ludzie są zawsze złośliwi, widząc nas idących razem rozmaite wnioski czynić gotowi, a nie chciałbym nigdy, aby choć najłżejszy cień zaćmił niewinne twe czoło.

— Dzięki ci.

— Bądź-że mi zdrowa droga Justeńko — rzekł niewypuszczając jej ręki—bądź-że mi zdrowa, może łaskawe nieba pozwolą nam się ujrzeć niebawem, i użyczą również jak teraz szczęśliwej chwili—to mówiąc ujął w pól jej kibić i zbliżył usta do twarzy, ale szybszym od błyskawicy ruchem dziewica ukryła twarz na jego piersi.

— Ja nie chcę Wiktorze — rzekła cichym lecz stanowczym głosem.

— Przebacz mi więc droga Justeńko— rzekł chwytając jej rękę i cisnąc do ust namiętnie, i chwil parę stali bez słowa na ustach nieruszając się z miejsca.

— O dzisiaj trudniej niż kiedy zegnać cię drogi Wiktorze, ale chłodna ręka konieczności powinna nas już rozdzielić—to mówiąc wyrwała mu z rąk drżącą i jak lód zimną rękę, szybkim ruchem otworzyła wrota wioski i zamknąwszy je z pośpiechem, nie spojrzała nawet na oniemiałą postać młodzieńca, jakby się obawiała, iż ten widok do miejsca ją przykuje.

Wkrótce spokojnym i swobodnym na pozór ruchem miała chaty wieśniacze, odpowiadając uprzejmie na ich powitania. Słońce rzuciło raz jeszcze blady promień na szczyty drzew i ukryło się poważnie za góry, a natomiast skrzydła zefiru rozniosły w powietrzu woń aromatyczną rozmaitych ziół i kwiatów.

W kilka chwil potem, młodzieniec odcucony z odrętwienia, napróżno wyglądał na ulicę wioski, czy nie ujrzy raz jeszcze tej która w tej chwili zajmowała wszystkie władze jego duszy, lecz napróżno, chatki wieśniacze zakryły mu ją swym cieniem. Spojrzał raz jeszcze w tę stronę i zawrócił powoli, kierując swe kroki napowrót do owego domku, który przed godziną opuścił.

Dziewczę skoro się ujrzało za wioską, skoro przestało mieć świadków w twarzach wesołych wieśniaków przytuliło rękę do silnie bijącego serca, i przyspieszywszy kroku zmierzało do domu, aby zapóźnem przybyciem nie zwrócić uwagi jego mieszkańców.

Udajmy się za nimi aby dowiedzieć się kto byli ci których tajemnicę pomimo całej ostrożności takeśmy niedyskretnie podsłuchali.

---

Domek do którego młodzieniec powracał był w czasowem posiadaniu dość bliskich jego krewnych państwa R. On pochodził z dawnej i bardzo zamożnej szlachty. Dziad jego Erazm C. był właścicielem kilku porządných wiosek, ale skutkiem nieoględności na przyszłość umierając, zostawił synowi o połowę zmniejszony fundusz. Syn pana Erazma, objąwszy rządy po ojcu, zaczął od wyprzedazy za bezcen reszty swego mienia i chociaż zostawił sobie jeden folwark, nierządem obciążył i ten długami. Nie można jednak powiedzieć iż pan Tomasz C. był złym człowiekiem; przeciwnie był to dobry sąsiad, dobry pan dla włości, dobry mąż i ojciec, wady nawet jakie miał i nierząd w majątku pochodziły ze zbytnej słabości którą nazywają dobrocią serca. W chwili w której się zaczęła powieść nasza, pan Tomasz C. jest w dość krytycznem położeniu. W pozostałym folwarku skutkiem reformy i interesów pieniężnych musiał odciąć najpiękniejsze grunta, a i na pozostałych takie ciążyły długi, iż musiał wydzierzawić je na lat kilka, a sam szukać obcego kącika, aby przez ten czas jakkolwiek biedę przeklepać. Żona jego gryzła się tem

niezmiernie i po cichu płakała nad smutną dolą ulubionej swej dziatwy. Te łzy tajone, ten ciągły niepokój o jutro ukochanych istot rysowały się z dniem każdym na delikatnych jej rysach piętnem chorobliwości niszcząc i tak już wątłe zdrowie. Pięciu synów dorastających chłopaków, z których Wiktor był najstarszym, czując swą smutną przyszłość, nie mając funduszu aby ukończyć kurs nauk, usilnie walczyli z przeciwnościami pracując na chleb powszedni to w bórach, to w zarządach agronomicznych. Nie mogli nawet spodziewać się iż kiedykolwiek rozjaśni się ich dola, i że się wybija na lepsze stanowiska. Jasno widzieli, że dla nich droga życia jest już ubitą przez skały i ciernie, że ani na chwilę im się nie zmieni, że chyba śmierć przetnie to pasmo cierpień ustawicznych, ten szereg walk bezplonnych. Ztąd to pochodziło, iż młody Wiktor C. tak długo walczył z uczuciem wzrastającym w jego sercu.

Piękny dom, który cała okolica pałacem zwała, rozciąga się przed naszym wzrokiem. Klomby rzadkich kwiatów, gaiki bżów i jaśminu otaczają go zewsząd i rozsypują się w malowniczym obrazie po ogromnym trawniku dziedzińca. Wysoki ganek starannie pomalowany o kilkunastu stopniach otacza żelazna baryera kunsztownie w ażurowe wzory wykuta. Dwie żelazne sztaby również w ażur kute podtrzymują dach ganku, opierając się o słupy fugowane pokryte grubą warstwą świtezkiego piasku i wyglądające jakby z jakiegoś rzadkiego kamienia ciosane. Z ganku widok się rozciąga daleko po równej łące, którą wzdłuż przecinają dwie rzeki aż się nareszcie zlewają w jedno koryto, tuż za niem i pocztowa droga, którą gdyby nie ruch częsty ciężkich pojazdów i bryczek, wzięsłby było można za żółtą wstęgę: dalej wzrok spoczywa na górze



okrytej łanami zboża i czerniejącemi gdzieniedzie jak gniazda jaskółcze lepiankami. Porządne budowle gospodarze wychylają w oddali wierzchołki swych dachów, z zieleni otaczających je dokoła drzew. Wietrzyk kołysze okryte zbożem pola, a wśród nich wzgórza ocienione gajami mile wzrok nęca. Po obu stronach dworu ulice wysadzone topolami ciągną się aż do gościńca. Lipowe aleje sadu daleko rozściełają swe cienie. Tuż za sadem wije się wężykiem rzeczka i świeci jak lustro sadzawka; nad nią śliczny gaik dębowy powszechnie dębniakiem zwany, przeglądając się w zwierciadle jej toni w pyszną stroi się zieleń. Rzeczyby można, iż natura i sztuka szły z sobą w zawody, aby upiększyć i zaopatrzyć to miejsce we wszystko co do wygody i przyjemności mieszkańcom potrzeba.

Na każdym kroku postrzegać tu się daje dostatek posunięty aż do zbytku. Liczna służba uwija się koło domu. Właścicielem tych zabudowań i rozległych pól jest pan B. krewny i opiekun Justyny.

Rodzina pana B. składała się: z bożyszcza jego syna jedynaka, człowieka najszlachetniejszych uczuć, lecz schorzałego i dość słabej głowy, gdyż cierpienia fizyczne przytępiły w nim władze umysłu; z synowej kobiety niepospolitego rozumu, ożywionej, lecz mającej serce jak lód zimne, które jednak sztuczną czułością zamaskować umiała; otaczającej się zawsze blaskiem pańskości i mającej nieprzepartą żyłkę do arystokracji, chociaż od pradziadów pochodziła tylko ze szlachty; nareszcie z Justyny Z. którą od dziecka wychował. Zawdzięczała mu ona wszystko, bo chociaż pochodziła ze starożytnej i arystokratycznej rodziny

Z. dziad jej rodzicom zostawił w spuściźnie imie głośne, pustki w kieszeniach i masę procesów rujnujących do szczętu. Wkrótce rodzice odumarli, i gdyby nie litość pana B. potomkowie starożytnej rodziny, Justyna i jej brat Wacław umarliby z głodu. Do szczęścia dziecka nie wiele potrzeba; gdy głód nie dokucza, gdy w zimie znajdzie się ciepła sukienka, trochę swobody, pieszczone słówko, czasem ciastko lub cukierek, dziecię zupełnie szczęśliwe.

Justyna Z. miała dotąd wszystkie te warunki szczęścia, zwłaszcza iż żona pana B. kobieta zacna, szczerze się nią zajęła; ale gdy pan B. owdowiał, Justyna została powtórnie sierotą, może większą niż po stracie rodziców, bo z poczuciem swego sieroctwa. Mieszkała tu wprawdzie otoczona pozorami zbytku i szczęścia, ale gdyby kto spojrzął bliżej szczególnie w chwili obecnej, dostrzegłby bezwątpienia iż rzecz się miała przeciwnie; nieraz wpatrywała się w chatę wieśniaczą, żałując iż nie jest jej mieszkanką; nieraz z chęcią zamieniłaby wytworne przysmaki na suchy kawał czarnego chleba. Synowa pana B. pani Adela zrazu okazywała jej życzliwość; sierota skwapliwie rzuciła się dzielić z nią każdym swem żywszem uczuciem, ale boleśnie się zawiodła, bo nietylko nie znalazła dla siebie ciepła w jej sercu, lecz odkryła nieszczerłość i szyderstwo. Wkrótce nawet i powierzchowna życzliwość znikła, a natomiast nastąpiła obojętność z lekceważącą grzecznością; biedna Justyna bolała nad tem niezmiernie. Czowała ona, iż w domu który ją niegdyś przygarnął, stała się zupełnie obcą, prawie niepotrzebną istotą. Nieraz chciała opuścić ten dom, który nie jednej chwili dziecinnego szczęścia, i nie jednej łzy dziewicy-sieroty był świadkiem. Nie

uczyniła to jednak dotąd, bo silna miłość dla Wiktora C. którego w sąsiedztwie u państwa R. poznała, silnie przykuwała ją do miejsca; ale gdy i tu zawód zdawał się ją spotykać, gdy tylko obojętność i zimny szacunek w oczach jego czytała, postanowiła na zawsze rzucić te strony. Przyjęła więc propozycję państwa T. jako urządzenie Opatrzności, rachując iż zajęcie się ich dziatwą i zmiana miejsca, skutecznie posłużą do zabliznienia rany. Nie mogła się jednak oprzeć chęci ujrzenia go raz jeszcze, bo chociaż nie mieszkał u państwa R., przeczucie szeptało jej: iż go tam dziś ujrzy. Łatwo wytlómaczyła więc państwu B. iż opuszczając te strony, pragnie pożegnać państwa R. Ponieważ to tak blisko, bo i parę wiorst nie było, do tego śliczna pogoda, wolała pójść piechotą, przyrzekając wrocic niebawem. Co dalej nastąpiło wiemy już. Żal jej więc było odjeżdżać, żal wyrzec się dobrowolnie widzenia ukochanej istoty; niepojęta jakaś trwoga wiązała się ze wspomnieniami dnia tego, a jednak, ani jedno żywsze uczucie nie zaznaczyło się na łagodnej jej twarzy; ani jedna łza nie stoczyła się po licu, chociaż boleść tłumnie tłoczyła je do oczu. Nikt nie odgadł jak ważną rolę odegrał dzień dzisiejszy w epoce jej życia, bystry fizyonomista nie wiem czy odgadłby to nawet. Umiałyżby już tak udawać, umiałyżby już panować nad władzami swej duszy i rozkazywać im tak despotycznie? Na to trudna odpowiedź. We trzy dni potem, konie z N. unosiły ją na długo z tych miejsc, gdzie serce tyle drogich zostawiało pamiątek. Wkrótce też i Wiktor C. opuścił bióro, aby zajmując miejsce nauczyciela u niejakich państwa Ł.

Nie jednemu może z czytelników wiadomo, jak ciężko jest opuścić miejsce do którego, że tak powiem, sercem się przyrosło, lecz nie każdy wie co to jest przenieść się do zu-

pełnie obcego domu, gdzie pierwsze two kroki śledzą ciekawe oczy nieznaney ci twarzy, gdzie cię spotykają zwyczajnie zupełnie odmienne od tych do których się nawykło, gdzie każde poruszenie, każde two słowo tłumaczą według swego „widzi mi się“ i wyrokują już o charakterze i obyczajach. Nie każdy też wie, jak ciężko jest osobie przybywającej do obcego domu, wcielić się od razu do rodziny, przywyknąć i zastosować się do zwyczajów, stać się że tak powiem jej członkiem. Ileż to łez, ileż walk wewnętrznych z sobą stoczyć nieraz wypada! Szczególniej jeżeli osoba, którą Bóg skazał na tę tułaczkę, jest w swym zawodzie nowicyuszką, nieświadomą życia, ludzi i ich zwyczajów, rzuconą bezbronną na tę arenę, aby wstąpić w zapasy z życiem, jak owi dawni gladyatorowie, wzbudzając czasem oklaski widzów, nie wzbudziwszy ich litości. Jeżeli Bóg szczęśliwie pokieruje tułaczem jej krokami i los przyjazny będąc jej przewodnikiem, zaniesie do zacnego domu, który z współczuciem przyjmie do swego grona, łatwo jej przywyknąć i przyrość sercem do nowej swej rodziny; lecz jeżeli przeciwnie otoczą ją twarze zimne, szydercze, w których ani trochy życia, ani krzty współczucia nie dojrzeć, jakże ciężko wówczas wyrzec się usposobień własnych, aby się nastroić do tej monotonnej nuty życia.

Z bijącym od strachu sercem, a jednak z wiarą w siebie, jechała Justyna Z. do nieznaney rodziny, którą na czas jakiś za swoją niejako przyjąć miała. Pograżona w głębokiej zadumie, do której nastroiła ją cicha noc wiosenna, a jej położenie wiele tematów podało, ani się obejrzała iż już jest u drzwi niewielkiego, ze słomianą strzechą domku.



— O gdybym tu tylko spokój i choć jedną twarz przychylną znalazła—pomyślała, po raz pierwszy przestępując nieznaną jej progę.

W kilka dni potem zupełnie się już poznała a nawet pokochała mieszkańców słomianej strzechy; byli to bowiem ludzie zacni, którzy starali się pozyskać jej serce, aby tem osłodzić przykrości trafiające się w życiu nauczycielki i przywiązać ją do swej dziatwy; wzajemnie mogła się też i ona ich przywiązaniem poszczycić, bo swą łagodnością wkrótce je sobie zjednała. Sercem przepelnionem miłością, przywiązała się do swawolnych z rumianami twarzyczkami dzieciaków, z nadzwyczajną łagodnością starając się zwrócić ich uwagę na wykładane przez nią przedmioty. Spokojnie więc płynęły dni jej w ustronnem zaciszu, jednostajnie jak godziny zegarka, zdawałoby się nawet iż szczęśliwie; a jednak, gdy nikt nie widział, łzy skrapiały jej lica, a drżące usta szeptały jego imię, jakgdyby przyzwąć go chciały. Łzy te jednak za dotknięciem czarodziejskiej laski znikwały z oczu, nie zostawując najmniejszego po sobie śladu, a uśmiech łagodny osiadał na jej ustach, skoro tylko jaki zjawił się świadek.

Tak więc mijały jej dni przeplatane cichą modlitwą, łzą tajoną, czasem bolesną myślą: może on o mnie zapomniał, może nie kocha. Nieraz gdy w chwili swobodnej od zajęć puściła wodze swej myśli, wówczas biegła ona daleko do małego domku otoczonego górami, do owego źródła, stawu, po nad brzegami którego, nieraz się z nim przechadzała; błąkała się myślą po owej drodze przypominając: każdy szczegół, każdy ruch, każde jego słowo, jakby to wszystko w pamięci unieśmiertelnić chciała, potem zwracała się do swego położenia i łzy kończyły ten ciąg

rozmyślań tak jednostajnych, z owem czy prędko ujrzeć go będzie mogła.

Nieraz pani T. kobieta już podżyła, lecz której twarz odznaczała się zawsze łagodnością, mówiła do swego męża:

— Czy wiesz co duszko Teoniu, jak to dobrze, że nam się taka nauczycielka trafiła, tak szczerze zajmuje się dziećmi, taka nie wymagająca, ze wszystkiego zadowolona, a z tego najwięcej się cieszę, że nie trzpiot dziewczyna, dobry przykład dla Erci, przytem nie mruk jak są czasem inne, zawsze z pogodnym uśmiechem na twarzy.

Teonio a raczej pan Teodor człowiek w równym prawie z żoną wieku, średniego wzrostu, szczupły, mizerny, z czarnymi włosami w które gdzieniegdzie i siwy się wplątał, odpowiadał swej żonie:

— Moja Malo, dziwiłbym się niezmiernie gdyby panna Justyna nie miała pogodnego czoła; jestem wielkim znawcą fizjonomii ludzkich, a na łagodnej jej twarzy napisano jakby czarno na białem, iż jeszcze ani jedno zmartwienie nie zasępiło nigdy pogody czoła, nigdy żadne żywsze uczucie nie zabiło w jej sercu, nigdy niepokój nie był gościem jej duszy, te bowiem uczucia wybijają się zawsze piętnem posępnosci na twarzy. Los ją dotąd oszczędzał, czegoż ma się martwić? Nie trzpiot, bo ją wychowała zacna matrona s. p. pani B.; ona to zaszczepiła w niej łagodność, dobroć i poczucie godności kobiety. Wistocie, dobrze że się zgodziła przyjechać z pałacu do naszej słomianej strzechy i że się z taką do niej zastosowała swobodą, jakby od urodzenia była jej mieszkanką.

I zadowolony pan Teodor z nauczycielki, a jeszcze więcej ze swej znajomości fizjonomii ludzkich, oddał się do zajęć gospodarczych, albo zasypiał w najlepsze.

Tymczasem Justyna szarpana bólem i tęsknotą, wlokąc z uśmiechem na ustach swe jarzmo, wyczekiwała, czy nie nadejdzie chwila w której choć jeden promień oczu Wiktora rozjaśni ciemnię jej duszy.

A on? I on cierpiał, tęsknił i włókł również swe jarzmo, wprawdzie nie z łagodnym uśmiechem, lecz z niecierpliwą skargą: „Och! jak ciężkie to życie!“ Dnie im zarówno upływały powoli, ale u Boga mijały one prędko i pracowity rolnik zanim zdążył sprzątnąć z łąk siano, aż tu i kłos się pozłocił i schylił ku ziemi swe czoło, jakby chciał ją ucałować za pielęgnowanie dni jego dziecinnych, jakby dziękując niebu za dobroczynne promienie słońca, które ważną rolę w jego wzroście i dojrzaniu grały, lub też korząc się przed wolą Wszechwładną skazującą go na użytek ludziom. Wkrótce też i kłosa padały podcięte ręką żniwiarzy; a potem nastąpiła głucha jesień zakłuciona chyba krakaniem wrony. Szron zaczął okrywać siwizną ogołoczone łany, wichur kołysząc do snu ziemię śpiewał usypiającą jej piosenkę; aż uspioną okryła biała kołdra jak puch miękkiego śniegu.

Pan T. odpoczął też po mozolnej swej pracy a zaczął rachować zyski; dzieci zebrane u ogniska klaskały w dłonie z radości, bo przyjemności nadchodzących świąt Bożego Narodzenia zawczasu już je cieszyły.

Było to właśnie kilka dni przed owymi świętami; rodzina państwa T. zebrana była przy stole; dzieci biegały po pokoju, bo już wypito herbatę i tylko starsi gawędząc lub zajęci robotą zostali. Pani T. porządkując, ozwała się do pochylonej nad robotą Justyny:

— Moje dziecię, Ercia mi mówiła iż chcesz jechać na święta do krewnych.

— Tak pani — odrzekła — każdego roku od wczesnej młodości dzielłam się z niemi opłatkiem, pragnęłabym to i teraz uczynić jeśli nie trudno o konie.

— O konie żadnej nie ma trudności — rzekł pan Teodor — lecz i my pragnęlibyśmy zatrzymać panią na święta; ale ponieważ bez porównania będzie jej milej u krewnych, ustępujemy z naszym życzeniem; konie mieć pani będziesz na rozkazy.

Uprzejmie podziękowała im Justyna za tę dobroć i za ledwie mogła ukryć niecierpliwość przeczekania tych dni kilku. A cóż dopiero gdy nadszedł dzień pożądanego wyjazdu; tu już musiała użyć całej siły panowania nad sobą, aby pożegnać wszystkich mieszkańców N., aby nie zapomnieć o powinszowaniu świąt i złożeniu każdemu z nich stosownych do jego wieku życzeń pomyślności i zabaw. Najdłużej zajęła ją pani T. która z płaczem przyjmując jej życzenia, ścisnęła już po raz dziesiąty. Nieraz brała ją pokusa wyrwać się z tych uścisków i uciec jak najprędzej; ale jednak najsystematyczniej dopełniła uściskania dzieci, i wyruszyła wśród żegnań i błogosławieństw w drogę.

Nareszcie konie zaczęły ustawać w ręczym biegu, zmieniając go na chód ocieęzały, a wzgórza z ogołoconemi z liści drzewami, wychyliły swe wierzchołki, zwiastując blizki cel podróży; wkrótce też dom państwa B. roztoczył się przed jej wzrokiem, z czysto umiecionemi wschodami ganku. Pospiesznie wyskoczyła Justyna, aby powitać panią Adelę wybiegającą na jej spotkanie z roztwartemi ramionami.

— O dobrze droga Justysiu żeś przyjechała, byłoby nam dziś przykro bez ciebie — rzekła układając minkę nie-



zmiernie czuła. — Papa i mój mąż bardzo się ucieszą, nie byli bowiem pewni czy przyjedziesz, ale ja miałam przecucie że tak być musi—dodała z uśmiechem. w którym się przebijała myśl niedopowiedziana.

Wkrótce podano wieczerzę. Pan B. prawdziwy typ naszych praocjów niedozwolił synowej zapomnieć o starych zwyczajach. Wigilię więc Bożego Narodzenia obchodzono tu uroczysto, według tradycyjnych jej zwyczajów. Nie zapomniano czekać ukazania się pierwszej gwiazdki na niebie, nie zapomniano również o parzystej liczbie osób u stołu, nie pominięto uroczystego obrządku dzielenia opłatka. Lśniące blaskiem doskonałego srebra sztucce i inne sprzęty zawierające jakies dodatki do nastąpić mającej wieczerzy, rozkosznie się rozpostarły na śnieżnej białości obrusie, przykrywającym sporą wiązkę równo rozestanego siana. Snopki zboża wyglądały ciekawie z kątów pokoju, jakby się chciały przypatrzeć przepychowi, a zarazem odgadnąć jaką tu rolę odegrać mają. Pani Adela z uśmiechem na ustach dzieliła opłatki uprzednio w zgrabne kwadraty pocięte i w różnobarwne desenie na talerzu ułożone, a potem ze łąką w oku łamali je wszyscy z innymi członkami rodziny. Justynie nagle przyszło na myśl: czy będzie je mogła kiedyś dzielić z ukochanym Wiktorem, czy wkrótce ujrzy go przynajmniej i wyraz głębokiej zadumy osiadł na jej twarzy, nie mogła już nawet zapanować nad smutnem przecuciem, pierś jej tłoczącem; szczęście iż nikt tego niedojrzał tak byli wszyscy zajęci sobą. Następnego dnia w potocznej rozmowie jakby niechcący, nadmienila o chęci odwiedzenia państwa R. Pani Adela natychmiast zadysponowała konie i Justyna w towarzystwie jednej z jej rezydentek, bo ona

sama nie chciała się zniżyć do odwiedzenia małego domku udała się do państwa R. Jakąż radością biło jej serce, gdy zajeżdżając pod ganek, w rzędzie osób wybiegających na ich spotkanie ujrzała i Wiktora C.

— Witajże nam droga panno Justyno!— zawołał podżyły już mężczyzna przybiegając do sanek, aby pomódz jej wysiąść, podczas gdy Wiktor wysadzał towarzyszkę, która z pretensjonalnym uśmiechem dziękowała mu za to. — Witajże nam, oto prawdziwie szczerą przyjaciółką— dodał prowadząc ją do pokoju — Serafcu!—zawołał na żonę pan R. — Serafcu! panna Justyna przyjechała.

Na głos jego wybiegła z przyległego pokoju kobietka, wzrostem nie przewyższająca dziesięcioletnie dziecię i cienkopiskliwym głosem zaczęła ją witać.

— A pocziwa żeś przyjechała, no jakże się miewasz, jak ci się powodzi, czyś przywykła do szlacheckiej zagrody? Chodź, muszę cię zaznajomić, są dziś u nas i nieznanne ci osoby.—To mówiąc wprowadziła ją do skromnie umeblowanego saloniku, gdzie całe towarzystwo zebrane było. — Panna Justyna Z. moja dobra przyjaciółka, o której cioci tyle razy mówiłam — rzekła podchodząc z nią do niemłodej już kobiety, której rysy nacechowane dobrocią, pomimo schorowania nosiły niezatarte piętno piękności. Pani Tomaszowa C. — rzekła znów Justynie. Tu nastąpiły powitania znajomych i prezentacya kilku jeszcze nieznanym jej osób.

Po odbytej ceremonii powitania i ogólnych formułkach prezentacyi, pani C. czy zniewolona sympatycznością ryśów czy też, że nieraz o niej słyszała, zaprosiła ją uprzejmie do zajęcia miejsca obok siebie.

— Siadaj tu droga panno Justyno—odezwała się miłym głosem—tyle zawsze słyszę o pani, że pragnęłam serdecznie ją poznać i cieszy mnie niezmiernie iż przychylna chwila się zjawiała. Dzisiaj z Serafcją mówiłyśmy nawet o pani.

— Pani R. zawsze tak dla mnie serdeczna, że nieumiem jej nawet za to dziękować.

Długo jeszcze między nią a panią C. toczyła się rozmowa, która z obojętnych przeszła na więcej zajmujące przedmioty. Pani C. z chlubą matki mówiła o swym ukochanym Wiktorze, którego, lubo się nie przyznając, najczulej kochała; a każde słowo pochwały przejmowało radością i dumą serce Justyny, iż tak zacnego człowieka ukochała i wzajem serce jego posiada. Wtrącił się do ich rozmowy i Wiktor, na pozór obojętnie zamienili z sobą słów parę; lecz on przyzwany wkrótce przez grono mężczyzn dla rozstrzygnięcia jakiejś kwestyi, musiał się oddalić. Następnie i pani C. pociągnięta w wir ogólnej a dość żywej rozprawy opuściła swe miejsce. Justyna tak się czuła zmęczoną, że pośpieszyła skorzystać z ogólnego zajęcia, aby się wysliznąć niepostrzeżenie do pokoiku, który sienią oddzielony od reszty mieszkania, był prawie zawsze samotnym. Potrzebowała chwili spoczynku, chwili bez świadków, aby zaczerpnąć sił do dalszego panowania nad sobą, obawiając się ciągle zdradzenia swej tajemnicy.

Lecz w chwili gdy przestąpiła próg przyległego pokoju, ujrzała za sobą Wiktora.

— Przecież znalazłem chwilkę by cię powitać, wszakżeśmy się nie witali, bo nie mogę tem nazwać konwencyonalnego podania ręki. Ale co ci jest droga moja, okropnie zbladłaś i smutno coś mi wyglądasz—rzekł, ujmując jej rękę

i niosąc do ust naprzemian. — A co, widzisz znowuśmy razem.

Justyna stała jak wryta, serce jej biło silnie, słowa konały na ustach; nie radość, lecz boleść malowała się na twarzy.

— Co ci jest?—zawołał przestraszony, otaczając ręką jej kibić i tuląc głowę do swej piersi.

— Nic drogi Wikciu, przestraszyłam się tylko; ta ciągła rola udanej swobody, to ciągłe silenie się na pogodny uśmiech, zmęczyły mnie strasznie. O! kiedyż będziemy mogli nareszcie zrzucić te maski!

Wiktor nie odpowiedział, brwi mu się tylko zmarszczyły, myśl jego biegła w daleką przyszłość, aby wyprzedziwszy ją przynieść pociechę ukochanej istocie; ale nie tam dojrzeć nie mógł prócz zwodniczej tak często nadziei. Westchnienie wyrwało mu się z piersi, drżącymi usty dotknął z lekka jej włosów i cichym głosem przemówił:

— Myślisz że mię to nie martwi, Bóg widzi jak chciałbym cię widzieć wesolą, szczęśliwą, nie martw się drogi mój aniele, miejmy raczej nadzieję lepszej kiedyś przyszłości. Ale musimy już wracać do towarzystwa, przywdziawszy zwykłe swe maski; nasza nieobecność może być już postrzeżoną. Udarujesz mnie jeszcze chwilą widzenia ciebie— rzekł potem — wszakże dni kilka zabawisz; a teraz żegnam, bo już się nam pożegnać nie dadzą. — Przycisnął do ust drżąca jej ręką i wybiegł prędko z pokoju.

W kilka chwil potem, przyłączyła się Justyna do grona rozmawiających i zdawało się że nikt nie dojrzał jej nieobecności. W rogu jednak salonika błyszczało dwoje oczu, jakby tylko dla tego, by śledzić jej kroki. Oczy te należały do panny Gertrudy F. owej towarzyski Justyny.



Panna Gertruda była to osoba której wieku oznaczyć nie możemy, chyba owem orzeczeniem Francuzów „vingt ans bien sonn ,” bo chocia pono dziesita wiosna od owego czasu min ła, panna Gertruda nie pozwoliła swemu wiekowi ani na ws od dwudziestki si  oddalić. Wprawdzie krzywił si  on na to i siał na twarz zmarszczki, nic nie pomogo, tak si  uporczywie trzymała. O uksztaceniu jej gowy i serca nikt nic powiedzieć nie umia, jako te jak si  z pani Adel poznała, jak potrafiła zaskarbić jej łaski i stać si  niezb dnie potrzebn; wiadano tylko, i przybyła w te strony z Krasnojarska, gdzie bawiła czas jaki u brata tamiecznego doktora; doć e panna Gertruda była u pastwa B. na rezydencyi. Przyjechawszy do pastwa R. bd wskutek nieusposobienia ducha, bd z jakiej innej przyczyny, usunwszy si  w rg salonu, nie mi szajc si  do rozmowy, ciekawo-badawcze swe oczy posyała w ślad za Justyn. Łatwo dostrzegła wi c jej znikni cie, dojrzała e i Wiktor w tej chwili si  wymkna. Roziskrzonemi oczyma śledziła, czy rwnie razem powrc i chocia pierwaj Wiktora postrzegła, zośliwy umiech skrzywiajc jej lica, dał poznać i rozumie t ich strategi.

Przy wieczery usadowiwszy si  obok Justyny i zmiatajc z pmiskw, namawiała i j do tego. Pani R. te tak natarczywie zapraszać zaczęła, e Justyna ktrej zupełnie je si  nie chciao, musiała si  wymawiać, skadajc brak apetytu na spniony obiad w domu.

— O doprawdy — zawoała na gos panna Gertruda — przecie przy obiedzie nic do ust nie wzięa, tak bya zaj ta wyjazdem.

Justyna przestała si  wi c tłumaczyć i zaczęła jec podan sobie potraw. Oczy naprzeciw siedzcego Wiktora spoczyway na niej, nie raz wzrok ich spotka si  z sob;

trzecie też oczy ciskając iskry ponurego ognia goniły w ślad za nimi.

Wkrótce konie stały pod gankiem, Justyna pożegnała z uszanowaniem panią C. zapraszając ją do siebie; żegnała potem wszystkich zarówno podaniem ręki i tylko w dłoni Wiktora dłużej jej ręka spoczęła, co też nie uszło wzroku ciekawej badaczki. Pani Serafina natarczywie przy pożegnaniu przypominała:

— Pamiętaj przyjeźdź pojutrze, przyjeźdź bo będę bardzo gniewać się. Justyna przyrzekła to uskutecznić, jeżeli nie nie przeszkodzi. Tak natarczywo wyjątkowe zaprosiny, które były skutkiem roztargnienia pani R. strasznie niepodobaly się panie Gertrudzie, lekko więc skłoniwszy się na pożegnanie, z wyraźnem nieukontentowaniem nagliła Justynę do drogi.

Konie szybko pomknęły po śniegu i prędeż się zatrzymały pod gankiem państwa B. nim Justyna zdołała przyjść do siebie z wrażeń pierś jej tłoczących.

— No jakżeście się bawiły — zapytała pani Adela wychodząc na ich spotkanie.

— Wyśmienicie! — zawołała z ironicznym uśmiechem panna Gertruda.— Jakżeż można inaczej zabawić się u państwa R.? Sama gospodyni taka uprzejma, uważna. Takie ważne kwestye dziś się rozstrzygały, takie żywe dysertacye, szkoda że to tylko karczemnie wyglądało; ten hałas drażnił mi nerwy niesłychanie. No i pojutrze ma być tam zebranie złożone z wyjątkowo uprzywilejowanych osób. Ale, ale, była tam para, która w czasie tych dysput wymknęła się z salonu na drugą stronę. Czy uważałaś to Justyno—rzekła zwracając się do niej z uśmiechem.

— Nie—odrzekła—byłam zmęczoną i wyszłam sama do przeciwległego pokoju, nikogo tam jednak nie było.

Słowa te wyrzeczone były tak obojętnie, że zachwiały nawet domysły panny Gertrudy, która nie przypuszczała by młode dziewczę udawać mogło.

Wkrótce rozeszły się do swych pokoi. Wówczas Justyna w rzewnej modliwie dziękowała Bogu za chwilę szczęścia, chwilę w której mogła go widzieć i łzy obfite puściły się z jej oczu. Byłyż to łzy radości lub smutku? Sama ich określić nie mogła. Czegożby miała się smucić? Wszak go widziała pełnego dla siebie miłości i szacunku, wszakże jej zalecał mieć nadzieję lepszej przyszłości, prosił, by się nie smuciła. O szachetności jego uczuć nigdy nie wątpiła. O! były to raczej łzy tęsknoty, za tą tak prędko przebiegłą chwilą, powrót której pewnoby połową życia chętnie opłacić chciała.

---

Nic tak męczyć nie zdoła jak oczekiwanie! Straszna to tortura, która powoli wyciąga żyły człowieka, pozwalając jednak żyć mu, czuć i boleć, zanim z ostatnią wyciągnie resztki życia i resztki nadziei; równa się konaniu na wolnym ogniu. Jakże powoli, jakże leniwym krokiem suną się te długie jej chwile. I czy to winowajca czeka wyroku śmierci, czy biedak łaski od losu, lub serce kochające liczy chwile ujrzenia drogiej istoty, zarówno jednakie znoszą katusze; często najkrwawsze zawody, gromy nieszczęść, śmierć okropna, nie dręczą ostatnim swym ciosem tyle, ile te przedwstępne ich wrota. A ileż ma jeszcze zawodów, ileż razy wyciska łzy gdy wesołego śmiechu czeka-no, iluż tonęło mając nadzieję iż staną w bezpiecznym porcie, iluż padło zgruchotanych ruinami gmachu, gdy już

bezpieczne w nim schronienie widzieli. Wszystkie te okropne katusze czekania znieść musiała Justyna. Wprawdzie nie wielki zakres miała do przebycia, nie długa epoka czasu miała dzielić jedną jej chwilę szczęścia od drugiej, a jednak w tych długich jak wieki chwilach dwudniowego czekania, przeżyła wszystkie jego tortury. Serce jej naprzemian szarpane to bólem, to niepokojem, to kołysane nadzieją ujrzenia swego wybrańca, nie mogło się doczekać tego „pozajutra“ zacząwszy już boleć w chwili gdy go żegnała. Religia, ten balsam zranionej duszy, uśmierzała wprawdzie jej boleść i gdy w modlitwie łzami ćmiły się oczy, czuła się po niej tak mężną, iż zdołałaby przenieść nieokreślone rozłączenie, nawet wyrzeczenie się najdroższych swych nadziei, by tem tylko mu szczęście okupić, tęsknoty jednak nie pozbyła się ani na chwilę.

Zaświtał nareszcie dzień ów tak pożądany z całą pogodą mroźnego nieba. Czysty błękit horyzontu okalały odcienia jutrzenki, łamiąc się różnobarwnemi kolory w promieniach wschodzącego słońca. Mróz ścinając swym tchnieniem oddech piersi, kazał mimowolnie przenieść się myślą w oddalone biegunów strony, a nieustanne migotanie śniegu setką barw jaskrawych rubinów, złudzenie to utrzymywało. Justyna z rozkoszą powitała śliczne promienie słońca wdzierające się do jej pokoju. Z przyjemnością spojrzała na czysty lazur pogodnego nieba i tak czysto, tak pogodnie, tak jasno było w jej duszy. Nadzieja jak owe promienie słońca, opromieniała różową nić marnego jej szczęścia. Piers przepelniona gwałtownem uczuciem, czuła brak powietrza. Wyszła więc, aby całą pierś odetchnąć czystem powietrzem; ale pierwsze tchnienie ściał lodem mróz bez litości, niedozwalając odetchnąć raz drugi.



Wróciła więc do pokoju, na twarzy malowało się wzruszenie, usta się zacięły, jakgdyby lękając się by nie wyszła na jaw walka, co się toczyła wewnątrz, by nie buchnął wulkan, co wrzał w jej piersi. Przycisnęła czoło do szyby, po chwili rzekła: — Chciałam swobodnie odetchnąć powietrzem, a ono mi oddech w lód ścięło. — I znów zamilkła, patrząc przed siebie, nagle usta jej zadrgały, ręce załamały się konwulsyjnie:

— O Boże, Boże!— zawołała — czy nie naukę, czy nie przestrozę posyłasz mi dzisiaj! O tak, tak — pierś mą rozsądza nadzieja ujrzenia go, nadzieja lepszej przyszłości, jak owe promienie pogodnego słońca, łamią się w różnobarwnych kolorach na horyzoncie mych marzeń; rozjaśniły mi duszę jak skrzepłą tę ziemię, lecz — czy nie zetną mi kiedyś oddechu swym chłodem, jak mroz to mi dziś uczynił.

I smutek osiadł na jej twarzy, napróżno zeń otrząść się chciała, napróżno mroźne tchnienie ściągające lodem jej oddech, jak widmo prześladowało, stając między nią a przyszłością.

— Co za dzieciństwo—mówiła po chwili — czyż można tak bezpośrednio z błahych pozorów sądzić o swej przyszłości, to tylko gra fantazyi.— Tak i na przemian rozumując, perswadując sobie te zabobonne przesady i nie mogąc się pozbyć smutnego przecucia, doczekała chwili w której oznajmiono konie przed gankiem.

Natłok sprzecznych uczuć, cisnących się do jej piersi wciągu tej krótkiej podróży, napróżno chcielibyśmy opisywać. Kto go doświadczał, pojmie doskonale; kto zaś nie doznał tej namiętnej gry uczuć, wytłomaczyć mu nie podobna.— O pocziwa — zapiszczał cienki głosik pani R., która na ganek wyszła ją witać. Głos ten nie mile za-

brzmiał w uszach Justyny, a na twarz wystąpił wyraz smutku z doznanego zawodu, wszakże to Wiktor myślała, najpierwej ją powita. Na szczęście pani R. niedojrzała tej zmiany i powtórzywszy jeszcze parę razy „pocziwa“ prowadziła a raczej ciągnęła za sobą do pokoju.

— A wiesz że czemu cię na dziś zaprosiłam. We wsi naszej wesele żydowskie, chciałam żebyś ze mną pojechała popatrzeć na nie, ale na nieszczęście dziecko mi coś niezdrowe, nie mogę go rzucić; mąż mój nie chciał sam jechać i pociągnął z sobą Wiktorka choć on nie bardzo ciekawy. Myślałam że ty nie przyjedziesz, nudnoby mi było samej, ale pocziwa nie zapomniałaś o słowie. O wiesz co — ciągnęła dalej piskliwie — radzę ci z serca, nie idź nigdy za mąż, bo napotyka się kłopoty; gdybym była panną mogłabym jechać gdzie mi się podoba, a teraz muszę siedzieć w domu i niańczyć chore dziecko.

Tak wyrzekając zaczęła się krzątać koło herbaty, a Justyna ani słówka niedosłyszała, ani wyrazu pojąć nie mogła z bezustannej tej gadaniny; w uszach jej dzwoniło, czasem usta drgały, starając się zdobyć na słówko bezmyślnej odpowiedzi, ale wyrывał się wówczas dźwięk z jej piersi, podobny do tłumionego łkania, jakby płacz duszy grzebiącej najdroższe swe nadzieje; a jednak ani na chwilę nie chciała obwinić Wiktora o obojętność lub lekceważenie. — Rozsądek — myślała, musiał mu dyktować udanie się z panem R. na owe nie arcy-ciekawe dlań widowisko, aby upornem zostaniem nie zwrócić na siebie uwagi. — Pani R. tak była zajęta kłopotami około chorego dziecka, iż Justyna zostawiona sobie, mogła wymknąć się na drugą stronę, by wypłakać te łzy duszące. Długo chodziła machinalnie, aż nareszcie wzrok jej spoczął na stoliku

gdzie ćwiartki papieru, rozrzucone pióra i kałamarniczki świadczyły o niedawnym ich użyciu.

Nie jednemu wiadomo jak czasem miłym, acz niedyskretnym powiernikiem naszych myśli, jest ta biała ćwiartka papieru, jak ważne ona rolę odgrywa w losach człowieka. Skwapliwie chwyciła jedną z nich Justyna i drżącą ręką zaczęła kreślić myśli i czoło jej się to chmurzyło, to nabierało jakiejś rzewnej miękkości, to się ścisnęły usta konwulsyjnie. Co tam pisała pod wpływem tłoczących ją uczuć, niewiadomo; to tylko pewna, że wypłakała boleść, wypowiedziała ogrom swego zawodu, tęsknotę, obawę, smutne przeczucia; że to musiała być spowiedź serca, musiało być wylanie się zbolalej duszy. Nagle zatrzymała się jakby wahając, jakby przysłuchując przyspieszonemu uderzeniu serca, ale za chwilę pióro się znów szybko pomknęło, lejąc na papier wraz z kroplami czarnego płynu, ogniste słowa miłości, przekształcając bezbarwne głoski w potężne uczuciem wyrazy. Zatrzymała się znów, pióro wypadło jej z ręki, a biała ćwiartka papieru powtórzyła by w tej chwili każdemu z ciekawych: „Twoja do grobu“. Nie wiem czy wiedziała sama jaką treść zawierało to pismo, bo chociaż długi czas patrzyła na nie, wzrok jej był tak bezmyślny, tak osłupiały, jak gdyby z tych głosek występowały legiony poczwarnych figur nieodgadnionego rebusa, jakgdyby były to hieroglify przedstawione oczom prostaka. Długą chwilę patrzyła tak jeszcze, aż zerwawszy się z krzesła chwyciła papier wyraźnie z jakimś postanowieniem, pospiesznie złożyła w kilkoro i przeszedłszy parę razy przez pokój, wyszła udając się przez sień do kuchni.

— Jak się masz Maryś? — rzekła uchylając drzwi do dziewczki krzątającej się ochoczo—zawsze taka krasna dzie-

woja, słyszałam swaty cię już zapili, idziesz zamąż nieprawdaz?

— Nie zdrowam — odrzekła zagadniona — no żem kraśna nie urokiem wspominając, każdy mi to powtarza, ale ja temu kredytu nie daję, boć to nie jedno kiepstwo ludzie gwarzą? A z kąd to panienka słyszała żem zapita. Janek co prawda był z wódką, ale zapłacić mi przyjdzie, bo ot nie mam z czem isć jeszcze.

— Słuchaj Maryś — rzekła z niejakimś wahaniem Justyna — dam ci długą kraśną wstażkę, a ty oddaj tę kartę paniczowi, tylko tak żeby ją nikt nie widział.

— Dobrze panienko — rzekła wesoło, bo obietnica wstażki w dobry ją humor wprawila — niech panienka będzie spokojna, nikt ją nie zobaczy — i chwyciwszy podany papier, ukryła go za gorset, w tejsze chwili głos pani R. powołał ją do pokoju.

Justyna została sama, nie mogąc sobie zdać sprawy; była jak odurzona tem co się stało, pragnęła nawet napowrót odebrać swe pismo; ale już pani R. nadbiegła, przepraszając że tak długo ją zostawiała samą, przyrzekła nadal nieodstępne swe towarzystwo, było już więc zapóźno. W parę godzin potem Justyna pożegnała ją i nie mogąc odmówić natarczywym zaprosinom, jako też wskutek danego Wiktorowi słowa, przyrzekła jeszcze raz ich odwiedzić.

---

Mroźny dzień pierwszego stycznia schylił się już ku zmrokowi, mróz jeszcze większych nabierał rozmiarów, niebo iskrzyło się niezliczonemi gwiazdy, w tem i księżyc

przebił przestworze nieba wychylając bladą swą twarz ku ziemi. Ciekawe oczy zwrócił na znajomy nam domek, ciszkając weń swe promienie. Przy oknie więcej księżycem niż światłem łojówki oświetlonego pokoju, stało dwoje ludzi. Promienie padające na nich, chociaż podnoszą bladłość twarzy, dają nam poznać iż to Wiktor z Justyną. Stali oni trzymając się za ręce, w cichej zadumie, jakby lękając się by rzeczywistość nie rozwiązała ich marzeń. O! i rozkoszne musiały być one. Oczy spotykały się z sobą i patrzyły z taką miłością, z takim wyrazem szczęścia, że niepodobna im było nie zazdrościć.—Justynko moja—były jedyne słowa, które dotąd wyszeptał gładząc pieśczołtliwie włosy i tuląc głowę do piersi. I ona tuliła się z ufnością do tej piersi, w której tętniło kochające ją serce, wstrzymując prawie oddech, by mózdz wyraźnie je słyszeć.

Nagle chmurka przebiegła po czole, podniosła głowę i spojrzawszy mu w oczy rzekła:

— Wikciu czy otrzymałeś moją karteczkę?

— Uspokój się otrzymałem, o dziecię z ciebie zepsute, jak tylko nie widzisz, przestajesz mi ufać i dręczysz się na próżno. Nie szczerze widać mię kochasz, gdy wątpić możesz choć na chwilę o świętości mego uczucia.

— O! nie mów tak Wikciu—zawołała rozpaczliwie, twe słowa jak ostrze sztyletu trafiają mi w serce, oszczędzaj, wszak mam cię tylko jednego na tym świecie - to mówiąc ukryła twarz w dłonie. — O ja cię tak kocham - dodała, oplatając go rękoma i tuląc głowę do piersi.

Dwie łzy wywołane tem iż zranił ukochaną istotę, zakręciły mu się w oczach, spadając na jej włosy, jednocześnie usta schyliły się do czoła; czuła już prawie gorące



ich tchnienia, gdy nagle drgnął i z lekka odtrąciwszy Justynę wyszeptał:

— Ktoś nadchodzi.

W tej chwili dał się słyszeć ocieężały chód i skrzypnięcie otwierających się drzwi. Była to Tomaszowa stara niańka pani R.

— Kto tam stoi przy oknie?—ozwał się gruby głos staruszki. — Czemu panowie nie idą się bawić, tam takie tańce że aż strach— rzekła podchodząc do okna — a to pozycyi się przyglądają — dodała, widząc iż pilnie patrzą. — Mój Boże jest tam co tak podziwiać, ot wiadomo jak pan Bóg stworzył i wodę i góry i lasy; już ja się na to przez lat sześćdziesiąt napatrzyłam — rzekła kiwając głową. — Jeszcze latem — jak latem, ale zimą, jakby kto murem opasał, istnie wilecza jama.

— To też kochana Tomaszowo patrzeliśmy na wilka co nam swemi oczyma świecił — odrzekł Wiktor z uśmiechem.

— Jezus Marya! — zawołała przerażona staruszka — a gdzie on, pewno się do chlewka podkrada; skaranie Boże! toć to niedawno uchwycił prosiaka rycheżyk pod tym oknem, muszę narobić hałasu, może kto ma fuzę nabita.

— Nie rób tego moja Tomaszowo, nie przerywaj zabawy, wilk już się zawrócił i pobiegł za górę, patrzemy tylko czy nie pokaże się znowu, ale on pewno już ztąd daleko.

— Chwała Bogu, jestem jednak niespokojną, pójdę kazać chłopcu by obszedł domostwa—to mówiąc wyszła pośpiesznie.

-- Justynko moja—ozwał się, przyciągając ją znów do siebie skoro się drzwi zamknęły, — ty coś mi smutna; pe-

wno znów wążpisz o mej miłości, a może się gniewasz że o małym nie przycisnął ust do twego czoła. A co! widzisz jak umiem czytać twe myśli, daruj uniesieniu, przyrzekam, aby przekonać iż cię szczerze i prawdziwie Kocham, że nie ucałuję twej ręki, do dnia w którym mi to sama wyraźnie pozwolisz. O chwile, chwile szczęścia, jakże prędko uciekacie! Wszakże to dzisiaj pożegnać się musimy Bóg wie na jak długo — rzekł z westchnieniem. Nie zasmucajmy tych chwil kilku napróżno żalami — dodał po chwili słysząc łkania Justyny. — Ufaj mi tylko, błagam cię, ufaj w niezmiennosc mego uczucia! Sto razy upewniałbym przysięgą, ale słowo moje jest równej z nią wartości, powinnaś mu wierzyć zupełnie. Wiary i zaufania wymagam od ciebie, tak jak ja ci wierzę bez granic, a wówczas będziemy szczęśliwi. Może niebawem ujrzymy się znowu. O! nie smuć się dziecię — mówił dalej gładząc ręką po twarzy i ocierając łzy które płynęły z jej oczu — nie smuć się, bądź mężną; niech nieba łaskawe pozwolą ujrzeć się nam znowu, a teraz bądź mi zdrowa, bo zdaje mi się iż nas szukają; muszę ztąd odejść.

Chciał się oddalić, ale stanął na miejscu jak wryty, bo w tej chwili ręce Justyny silnie oplotły go, z taką rozpaczliwą choć niemą prostotą, by jej nie rzucił, jakgdyby się obawiała iż nigdy go już nie ujrzy.

Szczęściem w salonie państwa R. tak się ochoczo bawiono, iż nikt nie spostrzegł nawet ich nieobecności.

— Justynko moja, Aniele ty mój jedyny — szeptał tuląc ją do serca — jakże mię pieką łzy twoje, jakże zazdrosczę wyrobnikowi, który może śmiało przycisnąć do serca drogą istotę, podczas gdy ja drzę jak winowajca by kto nie ujrzał nas teraz. Uspokój się, wszakto nie pierwszy raz się rozstajemy, ani też ostatni; przyjdzie czas iż już nikt

i nie nas rozłączyć nie zdoła; przyrzecz mi tylko, iż odtąd napróżno dręczyć się przestaniesz, że w smutne przecucia wierzyć nie będziesz.

— Przyrzekam — wyszeptła cicho tuląc swą twarz w jego dłonie — ale i ty pamiętaj, iż mam cię tylko jednego w tym świecie.

— Pamiętam — odrzekł — i dla tego nie chcę cię narażać, już za długo tu się znajdujemy, musimy się rozstać by nie zwrócić czyjej uwagi; słyszę nawet głos Serafyny, może tu nadejść. Uzbrój się w swobodę Justynko droga, ty tak umiesz panować nad sobą — i ująwszy jej rękę, popatrzał swym magnetycznym wzrokiem, że aż pod siłą tego spojrzenia zadrżała, poczem oddalił się pospiesznie.

Za chwilę Justyna weszła do salonu, gdzie ochoczo młodzież tańczyła. Bądź że wszyscy byli zajęci, bądź skutkiem sztuki panowania nad sobą, nikt nie dojrzał ani śladu wzruszenia na jej twarzy; wydawała się wszystkim tak swobodną, tak wesołą, jakgdyby jej czoło nigdy zasępiac się nie umiało. Wkrótce zawiązała rozmowę z Wiktorem, prowadząc ją tonem tak lekkim, tak swobodnym. treści tak obojętnej i etykietalnej, iż wątpię czy panna Getruda potrafiłaby nawet odgadnąć scenę, która przed chwilą miała miejsce. Umie doskonale odgrywać komedję, powie nie jeden; lecz uderzywszy się w piersi przyznajmy: czyż nie posiadamy my wszyscy również tej sztuki? W głębi duszy naszej leży ona jak niemowlę w kolebce, zanim świat i życie, ci wielcy mistrzowie, mniej lub więcej ją nie wydoskonalą. Świat to wielki teatr, na deskach którego bez wyboru odgrywają się ciągle okropne dramata i śmieszne, głupie a często płaskie komedye. Uczucia, religia, związki rodzinne, jednym słowem wszystko co powinno być świętem dla człowieka, przetwarza, skarykaturza

i przedstawia jako wyborne temata swej sztuki, doskonałość której zależy na umiejętnem udaniu i gdy za kulisy schowa się prawda, miłość Boga i rodziny, na scenę występują umiętni aktorowie i kłamią religię choć w duszy hipokryci, kłamią miłość i zgodę rodzinną choć w głębi ich serca wre zawiść, choć zazdrość je nurtuje, kłamią wesołość, choć duszę rozpacz uciska, kłamią dostatki wielcy nędzarze, kłamią i ubóstwo bogaci. Wszystko to kłam na świecie! Cóż więc dziwnego iż otoczona tą ciągłą komedią, potrafi ukryć tę stronę serca którą pragnie by nie dojrzały oczy natręta, by nikt nie wkroczył w jego tajniki. Cóż dziwnego iż istota z niestraconą jeszcze wiarą w uczucia, stara się ukryć w głębi serca to, co ma najświętszego przed okiem profanów.

• Wesoło obchodzono u państwa R. pierwszy dzień Nowego Roku, wszystkich oczy promieniały kłamaną lub prawdziwą radością; wszyscy radzi byli rzucić w przepaść zapomnienia rok zesły, życząc aby terażniejszy 1866 wynagrodził wszelkie krzywdy jego poprzedników; może i nie pamiętali już o nich, bo czas, ten wielki lekarz, z łatwością zabliznia rany; dość że młodziutki rok 1866 rozpoczął epokę swego istnienia na horyzoncie państwa R. wśród wesołych tanów i częstych toastów. Głos tylko pani R., zropaczonej czy zdoła uraczyć wesołych swych gości, dominował często w kuchni, czasami z piskliwego zmieniał się w chropowaty i drżący gniewem, aż nareszcie przeniósł się do pokoju, pomagając ustawiać jak można najsymetrycznej stopy pieczystego, kotletów, piramid ciasta i t. d. aż z ustawieniem ostatniego półmiska uśmiech zadowolonia przemknął się po drobniutkiej twarzyczce, kładnąc w dłonie i dumnie podniosłszy głowę jakby chciała powiedzieć: „któż tak potrafi?“ kazała prosić do stołu.



Możeby nie jeden współbiesiadnik uczt Lukulusa miał tu sposobność skrzywienia się okropnie, może jego podniebieniu nie jeden zawód byłby zgotowany, ale na szczęście goście państwa R. bądź byli dalecy od znajomości gastronomicznej, bądź tak wyglodzeni wesołością, iż w mgnieniu oka zniszczono arecydzieło pani R., które jej tyle zmian głosu, tyle chwil przy kuchennym ogniu kosztowało; zniknęły stopy mięsów tak symetrycznie ustawionych, a na stole zostały tylko szczątki jadła, kości ogryzione, obrus zaczerwienił się strugą rozlanego wina, istny plac boju po bitwie.

I znów hałaśliwa nastąpiła wesołość, muzyka głośzyła rozmawiających. Nie raz jeszcze w tym powszechnym zamęcie, potrafili nasi bohaterowie ścisnąć się za ręce lub szepnąć słówko miłości.

Późno w noc weseli a pomęczeni goście żegnali gospodarzów wzajemnem życzeniem, by cały ten rok, jak dzień dzisiejszy, przeszedł im równie wesoło. Prawie takie były życzenia i Wiktora przy pożegnaniu Justyny, z dodatkiem po cichu: byśmy już nigdy tak się żegnać niepotrzebowali. Pożegnanie ich jednak nie zwróciło niczyjej uwagi, odbyło się ono etykietalnym podaniem ręki z ugrzecznionym uśmiechem, który igra zawsze na zawołanie, ona szybko wskoczyła potem do sanek i konie uniosły ją, wydzierając oczom Wiktora. Wkrótce klęczała w swym pokoju z rękoma złożonemi jak do modlitwy, ale usta jej nieruchome nie wymawiały ani słowa: może się i modliła myślą, wznosząc ją do Tronu Najwyższego, może starała się zarzeć za gęstą zasłonę swej przyszłości i wyczytać z jej białych głosek, nieodwołalne wyroki nieba. Było już dawno po północy, a ona klęczała jeszcze. Jej usta nieruchome, oczy wzniesione ku niebu, postać wyniosła, przedstawiały



w tej chwili, doskonały model dla dłuta. I długo pozostała tak nieruchoma, rzec by można skamieniała, aż wreszcie głowa jej się schyliła ku ziemi i dwa strumienie łez trysnęły z oczu.

— Bądź wola Twoja — szepnęła — napróżno by mi przyszło badać Twe wyroki, tyś je okrył mgłą nieprzejrzaney nocy, osłoną ciemnej dali.

Był już dzień wielki gdy Justyna otworzyła oczy. Jeszcze się otrząść nie mogła z mar ją dręczących, gdy Gertruda weszła do pokoju.

— Dzień dobry Justyno — rzekła siadając na łóżku — no pieszczochu dość tego leżenia, wstawaj.

— Doprawdy, czy już tak późno?

— A! jeszcze się pytasz, patrz, już jestem zupełnie ubrana do drogi, przyszłam się tylko dowiedzieć, jak się wczoraj bawiłaś.

— Wyśmienicie, było dużo osób, bawiono się, tańczono ochoczo. Pani R. umie być dobrą gospodynią; wszystko było wyborne.

— Pani R. umie być dobrą gospodynią gdy zechce — rzekła Gertruda złośliwie.

— Spierać się oto nie będę, wiem tylko iż pani R. zawsze chce być uprzejmą i uprzyjemnić gościom czas u niej spędzany.

— Tak myślisz Justyno, jestem przeciwnego zdania, zostawmy to jednak.

— O której wróciłaś?

— Nie wiem musiało być po północy.

— A pan Wiktor C?

— Był.

— Tańczył dużo?

— Nieuwazałam.

— Dlaczego nie zwróciłaś na to uwagi?

— Trudno w tłumie uwijającej się młodzieży wyróżnić kogoś, zwracając nań głównie uwagę, do tego nie miałam od nikogo polecenia — rzekła głosem w którym się przebił cień ironii.

— A twoje serduszko?

— Kazało mi patrzeć zarówno na wszystkich.

— Mówisz-że to seryo?

— Najzupełniej.

Uśmiech zadowolenia skrzywił lica dojrzałej piękności, zamilkła na chwilę, zawahała, potem rzekła:

— Mówiłam ci że przyszłam się tylko dowiedzieć, jak się bawiłaś, jestem na wyjeździe.

— Gdzie jedziesz?

— Do M. Moja Justyno bądź tak dobrą, dla skompletowania potrzebnej mi kwoty, dodaj sześć kopiejek, oddam ci dzisiaj i przywiozę chłopca w procencie.

— Dobrze, pod tym warunkiem zawierzam ci żadaną sumę; ciekawam jak się z tego wywiążesz — rzekła Justyna ze śmiechem.

— Zobaczemy, tymczasem do widzenia — i uściskawszy ją wyniosła się pospiesznie.

Panna Gertruda szybko przebiegła pokoje, kierując swe kroki ku drzwiom prowadzącym do sypialni pani B.

— Czy można — zadzwieczał jej głos.

— Czy to panna Gertruda?—odezwano się z sypialni—  
proszę wejść.

Lekko uchyliła więc drzwi, i zamknąwszy je z pospiechem, w podskokach naśladujących siedmioletnią dziewczkę, rzuciła się do łóżka pani B. osypując jej twarz i ręce pocałunkami.

— Dzień dobry moja Gertrudo. Jakże się dzisiaj macie?

— Wszyscy wybornie, czyż można się mieć inaczej w domu pani; oddychając tem powietrzem można się z wszelkich chorób wyleczyć.

— Ty jednak moja Gertrudo nie możesz się pozbyć pochlebstwa, widać to nieuleczona w tobie choroba.

— O! ja nigdy nie pochlebiam, to tylko szczerza prawda.

Blady uśmiech przemknął się po twarzy pani Adeli, mógł on być pewnym rodzajem zadowolenia lub pogardy.

— Czy byłaś u Justyny?

— Właśnie od niej przychodzę, wylega się jeszcze, mówiła że wróciła o północy,

— Jakże się tam bawili?

— Tańczono podobno ochoczo, ale pojąć nie mogę jak się tam można bawić. Ja bym nie potrafiła.

— A Wiktor C. był?

— Staralam się wybadać Justynę co do tego i udało mi się to z większą łatwością niż myślałam.

— Nie może być?

— To taka gaska, wszystko wypaplała.

— No, minister z ciebie moja Gertrudo; mnie się zdawało badając ją nieraz, iż to książka sanskryckim językiem pisana. Mówże prędzej jaki jest rezultat twego badania i jak się wzięłaś do tego.

— Przypuściłam szturm—napadłam, gdy była najmniej przygotowaną i powiedziała prawdę.

— Cóż takiego?

— Że Wiktor C. jest jej zupełnie obojętnym.

— Nie chcę temu wierzyć.

— Jestem zupełnie tego pewną; mogę iść o największy zakład. Nie wiem co bym dała, aby pani mogła zobaczyć ten uśmiech radości rozpromieniający jej twarz na wieść, iż jej chłopca przywiozę.

— Jakiego chłopca? Mówisz same zagadki.

— Muszę więc pani wszystko po porządku opowiedzieć. Badałam pilnie jej wyraz twarzy pytając o Wiktora i zauważyłam, że z najzimniejszą krwią odpowiedziała, iż nań zupełnie nie zwracała uwagi, iż jej jest równie obojętnym jak wszyscy. A gdy powiedziałam żartując, aby mi pożyczyła kilka kopiejek, to jej chłopca wyswatam, a to dopiero trzeba było widzieć jaka radość zajaśniała na twarzy, jak szybko skoczyła po pieniądze, zobowiązując na wszystko bym dotrzymała słowa. Nie umiała ukryć nawet swej radości.

— No, to przywieź, a masz że tam kogo?

— Władysław H. — byłaby to zła partija?

— Czy przyjedzie?

— Przyjedzie, wiem z pewnością bo mu się sprzykrzyły harbuzy, a tu na pewno — na bezrybiu i rak ryba.

— Po tych słowach pożegnała i zaczęła się wybierać w drogę do poblizkiego miasteczka. — To pocieszenie, myślała pani B., gdy Gertruda opuściła jej pokój, mnie się zdawało, iż ona zaprzyjaźniła się z R., aby widywać Wiktora. myślałam, że zajechał jej w głowę i że na wzajem opętała go swemi oczyma. Ej chyba Gertruda się omyliła, Justyna ma coś szatańskiego w swym wzroku, opętała go niezawodnie. A może nie wielką miał ochotę patrzeć

jej w oczy, bo cóżby inaczej mogło spowodować tę prośbę swatowstwa — zobaczymy — zobaczymy.

— Jeżeli mi się szczęśliwie udało — myślała panna Gertruda zbliżając się do celu swej podróży — mogę zupełnie liczyć na panią B., będzie to silny sprzymierzeniec mych planów. Trzeba kuć żelazo póki gorące; przywiezę Władka, wmówim, ożenim z Justyną; ona jeszcze nie wie że Wiktor ją kocha — a wtedy może on nią pogardzi, i może... — tu się zamyśliła głęboko, bo pajęczna tkanina jej planów porwała się, spotkawszy strasznego przeciwnika w osobie dawno minionej dwudziestki. Zobaczymy, zobaczymy — powtórzyła jednak dodając sobie otuchy.

— Justyna tylko nie powtarzała zobaczymy i nie przypuszczała, aby kilka kopiejek i słowo żartu, miały odegrać jakąś rolę w jej życiu. Myśl jej cała była zajęta ukochanym Wiktorem, którego nie miała już prędko zobaczyć, za którym bardzo tęskniła. Nazajutrz miała opuścić państwa B. i udać się napowrót, gdzie ją czekała mozolna praca, i tak monotonne, tak nudne życie.

— O gdybyż choć dzień dzisiejszy spędzić jeszcze razem, gdyby... — W tem dzwonek dał się słyszeć w dziedzińcu. O nieba! czyżby mimowolnie czarodziejską siłą go przywołała? czyżby zaklęcia miłości miały tak potężnomagiczną własność, byłżeby to on? — Serce jej okropnie bić zaczęło.

Jeszcze nie mogła opanować swego wzruszenia, gdy szmer powitania i zmieszane głosy doleciały jej uszu, między którymi głos panny Gertrudy rozróżnić mogła.

— Cóż to jest, kogóż Gertruda przedstawia Adeli. Któż by to był? Prawda, mówiła mi, że kogoś przywiezie; zapomniałam o tem. — I nie łamiąc głowy próżnymi domysłami, wzięła książkę do ręki, z zamiarem pozostania jak mo-



żna najdłużej w swym pokoju. Ten sposób dawał jej nie-  
raz swobodną chwilę na puszczenie biegu swej myśli, nie  
zwracając nieczyjej uwagi; uciekła się i teraz pod opiekuń-  
cze skrzydła jakiejś wysoko-uczonej rozprawy i chociaż  
myśl daleko odbiegła, chociaż nie mogła ani na chwilę  
zwrócić ją do zajęcia się tym tematem, zdawała się czytać  
z zajęciem.

— O to literatka — ozwał się głos Gertrudy tuż za nią,  
że aż drgnęła z przestachu.

— Ot jest, przestraszyłam cię; jakże to można tak  
się zaczytać; od kilku chwil stoję, myślałam: że udajesz by  
mnie nie widzieć.

— Wistocie czytałam z zajęciem.

— Coś okropnie nudnego, nie mogłabym kilku wierszy  
przeczytać; jakiś romans jeszcze to co innego.

— I to zawsze u ciebie początek i koniec, wiem że namiętnie  
oddajesz się takiemu rodzajowi literatury — rzekła  
Justyna ze śmiechem.

— Alboż to nie wszystko jedno, tylko treść wiedzieć,  
a te nudne androny autora, co cię tak zachwycają i które  
bodaj nazywasz wzniosłemi ideami, czy jak tam, nie mają  
dla mnie uroku; ale zostawmy tę literacką rozprawę, chodź  
do salonu, przedstawię ci chłopca.

— Powiedz że, kogo przywiozłaś?

— Władysława H. Spotkałam go przypadkiem; jest to  
mój znajomy, nawet daleki kuzyn; tak na mnie zaczął nale-  
gać, bym go przedstawiła państwu B., powiadał, iż tyle sły-  
sząc o tobie, pragnie cię poznać koniecznie; przyszedł mi  
więc na myśl mój żart dzisiejszy i zgodziłam się go przy-  
wieźć. Wiesz, ciągnęła dalej, ma zamiar się żenić i tyl-  
ko jeszcze nie zrobił wyboru; pragnęłabym, jak cię szcze-  
rze kocham, dodała całując ją w czoło, aby ten wybór

padł na ciebie, i nawet mam nadzieję, iż tak być musi, bo nie zna cię, nie widział, a już mówi, jak prawdziwie zakochany; oczarowałaś go zanim cię ujrzał, a cóż dopiero teraz.

— Rozczaruję — rzekła Justyna obojętnie, taka to kolej, każdy wymarzony ideał rozstrzaskać się musi o jego rzeczywistość.

— Mówisz jak marzycielka, jabym radziła nie rozczarowywać go, bo doprawdy dobra partya; gdybym miała siostrę, nie pragnęłabym dlań lepszej; młody, nie brzydki, nie biedny, czegoż chcieć więcej.

— Dajże mi pokój, to coś zakrawa na swatowstwo.

— Ale nie — tylko ci me zdanie objawiam.

Kawalera o którym Gertruda tak pochlebnie się wyraża, znajdujemy w tej chwili zajętego rozmową i siłącego się zdobyć na stosowną a może dowcipną odpowiedź, gdyż obie ręce w kieszeniach i chód po pokoju, wyraźnie to wskazują; nareszcie się zatrzymał, klasnął językiem, uśmiechnął z zadowolenia i kiwając głową wygłosił: — Tak to, tak łaskawa pani, to fenomen.

Dowcipny jęczyczek aż mu się wysunął na usta, jakby czekając oklasków za wygłoszenie takiej mądrości. Wyglądał jak pajak czyhający na muchę; to też pani B. za ledwie zapanować mogła nad sobą, by nie parsknąć śmiechem. Gdyby nie tak śmieszne maniery, gdyby nie głupota cechująca każde jego słowo, gdyby nie nos co chciał uchodzić za orli a spuścił się aż do wargi, przypominając swym kształtem dziób drapieżnego ptaka, pan Władysław H. możeby i uchodził za niebrzydkiego; ale maleńka bez wyrazu twarzyczka, uzbrojona zakrzywionym potężnym dziobem, który mu nos zastępował, przerażała

prawie na pierwszy rzut oka. Cieniutkie nogi zdawały się uginać pod ciężarem jego wyniosłej postaci. W wazkiem czole znać, iż nie zagościła nigdy żadna myśl wznioślejsza, ten odbłysek inteligentnej istoty; może był i dobrym, bo złym być nie umiał. Ojciec zostawił mu niezłą fortunę.

Pan Władysław gospodarzył więc w swym folwarku za pomocą matki, która go nigdy z fartuszka nie spuszczała, a gospodarzył nawet lepiej, niżby się spodziewać było można. Pani H. czulej go też kochała, niż tych co porzucawszy rodziną strzechę w świat pociągnęli — był to jej Benjaminek. Jednak chociaż patrzyła nań oczami serca, nie sposób było nie dojrzeć braku urody, której mu natura odmówiła; często się więc zamyslała nadtem; a te medytacye stawały się dłuższe, gdy pan Władysław zaczął dobiegać dwudziestej piątej wiosny życia, a pani H. coraz z sił spadała; wreszcie rezultat tych długich rozmyślań był, iż pan Władysław jest niebrzydki, bo skoro ładniejszy od diabła — mawiała machając ręką, to już i dosyć, a pan Władysław może i był nim w istocie.

— Czemu już nie nadchodzą, myślała pani wyczerpnąwszy całą swą wiedzę bawienia gości, jakoż w tej chwili weszła do salonu Gertruda prowadząc za sobą Justynę.

Pan Władysław pośpieszył ku nadchodzącym.

— Pan Władysław H. — rzekła Gertruda, przedstawiając go Justynie, ta podniosła nań oczy, cofnęła się i o mało: „ach!“ nie wyleciało jej z piersi. Pan Władysław jednak był tak dobrze o sobie uprzedzonym, iż wziął to za pewien rodzaj niemego zachwyty, zacierając więc ręce i przestępując z nogi na nogę, co było u niego znakiem zadowolenia — tak to tak, łaskawa pani, jakaś nie wyraźnie, to fenomen.

Nie można też było lepiej pomódz Justynie do określenia zjawiska, które miała przed sobą, to też zniknęło przerażenie i ledwo zapanowany uśmiech igrał na twarzy.

— Tak to tak, to fenomen — ciągnął dalej, iż widzę przedmiot mego serca, nie wiem tylko czy on mi godnie odpowie; już chciał recytować dalej oświadczyiny wyczone przez matkę, które w pół pamiętał a lękał się zapomnieć, gdy pani B., która przed chwilą opuściła salon, aby się wysmiać serdecznie, wróciła proponując ogólną w gry zabawę.

Nie mamy potrzeby opisywać niestosownych lecz górnym stylem wygłoszonych sentencyi, ani opowiadań o swych dobrach, które nazywał fenomenalne, bo byśmy tylko napróżno znudzili, jak się niemi znudziła Justyna, dodamy tylko, iż wyczerpnąwszy cały zasób frazesow przy pożegnaniu, odprowadził w stronę Gertrudę, prosząc ją, by ta w imieniu jego spytała Justyny, czy zechce oddać mu rękę i czy pozwoli siebie u państwa T. odwiedzić.

— Niech się napróżno nie fatyguje — rzekła rozdasana.

Spuścił więc nos na kwintę, spuściła go i panna Gertruda; wykręcił się na pięcie i wskoczył do sanek, jak gdyby go kto biczem wypłoszył.

— Jeszcze cię nigdy tak rozdasaną nie widziałam — mówiła pani B. do Justyny, gdy odgłos dzwonka oznajmił, iż sanki z przed ganku ruszyły, wyglądałaś, jak rozkapryszone dziecko; pamiętaj, pożałujesz, że tak kwaśno przyjęłaś jego zaloty, drugi raz pewno nie zechce cię widzieć.

— Bardzo bym to sobie życzyła.

— Ciekawam, dla czego byś to sobie życzyła, kogoż więc wyczekujesz na przyszłość; może księcia z księżycą lub co podobnego — rzekła z przekąsem. Papo bardzo życzy wydać cię za dostatniego człowieka, a pan Władysław

ślaw jest nim w istocie; obaczysz rozgniewasz papę.—Może myślisz — ciągnęła dalej coraz się zapalając, iż przyjdą do skutku twe chorobliwe mrzonki, iż potrafiśz opętać Wiktora, a gdyby i tak było, gdybyś go usidliła, myślisz, iż papo się zgodzi, iż się zgodzim—wołała odchodząc prawie od siebie, przyjąc go do grona naszej familii, byście nam byli ciężarem; myślisz, iż jego rodzice zezwolą przyjąc do swej rodziny potomka zgruchotanej wielkości z pustką w kieszeni. Pustki z pustkami się nie łączą, ciągnęła dalej z syczącym śmiechem, bo to bliskie pokrewieństwo, na nie i papież dyspensy nie daje.

— Wyperswaduj sobie, Wiktor nigdy twoim nie będzie... — chciała dalej mówić lecz wzruszenie już nie dozwoliło.

Panna Gertruda stała w czasie tej sceny z założonemi rękoma, przerażona odkryciem, iż w silnym sprzymierzeńcu swych planów, jest i niebezpieczny ich rywal, bo to co słyszała z ust pani nie było życzliwą radą sierocie, ale rzucaeniem rękawicy na zaciętą walkę, była to mowa tchnąca zemstą i nienawiścią.

— Czyżby ona miała go kochać? chwyciwszy się za głowę, wołała Gertruda biegnąc wkrótce po ogrodzie, więc Justyna i ona... ona, tak surowych obyczajów, taka świętoszka... uśmiechnęła się... gdybyż to szepnąć mężowi! — Justyna zaś stała jak wryta, oczy spuszczone, milcząca i tylko drganie ust świadczyło o walce wewnętrznej; klnąc w duchu Gertrudę, jej wybieg i swój żart niewczesny, który jej tak dotkliwą scenę wywołał; w głowie jej szumiało a syczący głos pani B., jak odgłos gromu tysiącem ech powtarzał: Wiktor nigdy nie będzie twoim. Tak więc zakończył się ów dzień dla wszystkich zupełnie inaczej niż pragnęli.



Pan Władysław kłął Gertrudę, iż go do zerwania nowego harbuza skłoniła i postanowił nie oświadczać się nigdy, a czekać aż mu się sama która oświadczy.

Pani B. rachując, iż może fortunka pana Władysława skłoni Justynę do oddania mu ręki, a przekona, że Wiktor nie był jej obojętnym, szalała ze złości; ale gdy pierwszy paroksyzm minął, gdy rozważa zaczęła brać górę, z przeżeniem ujrzała, iż wydała się z tem, co najmniej pragnęła, iż ta żywość względem Justyny kompromitować ją mogła. Gertruda też nie umiała sobie dać rady; miała do czynienia z dwiema a przeciw żadnej wystąpić nie śmiała; chciała wprawdzie donieść panu B. o swem odkryciu, lecz zkądże pewność, iż nie przyjmie to za oszczerstwo, a gdyby i uwierzył, cóż za korzyść — zawsze jej marzenia wiatr rozniesie i pędząc w różne strony szyderską piosnkę zaśpiewa! Postanowiła więc z rezygnacją poddać się losowi, czekając aż się znajdzie przyjazna pora na kopanie dołków, a tymczasem pozostać w łaskach pani; ale ta ostatnia zanadto miała rozumu, aby dojrzeć nie mogła niskiego charakteru, aby zupełnie ufała w dyskretność języka swej faworyty; po scenie więc której była świadkiem, postanowiła mieć ją na oku. — Noc wszystkim upłynęła bezsennie.

Zaledwo brzask jutrzeńki ozłocił horyzont, Justyna już była na nogach wyczekując niecierpliwie koni, które ją unieść miały do cichej słomianej strzechy, gdzie nikt drażliwej jej struny nie dotknął; w krótkce też oznajmiono je pod gankiem i ręce bieguny niosły ją szybko do N.; ona też niecierpliwie wyglądała celu swej podróży, aby czempredzej otrząść się z przykrych wrażeń dnia poprzedzającego. Los przyjazny posłużył pani B. usunąć Gertrudę

w chwili, gdy odkryła w niej nieprzepartą chętkę wygadania swych wniosków.

W parę dni po opisanem zdarzeniu list z Krasnojarska powoływał ją do brata; musiała więc wyrzec się swych marzeń i pospieszyć tam niezwłocznie; odtąd i słyhać o niej nie było. Jednak w dzień odjazdu, długa rozprawa miała miejsce w sypialni pani B.

Zamknięte drzwi nie dozwoliły tam zajrzeć nikomu.

Służba szeptała jednak między sobą, iż słyszała pannę Gertrudę wymawiającą słowa: musisz... pieniędzy... doniosę... ale treść tej rozmowy została tajemnicą — to tylko pewna, iż pauna Gertruda wyszła wiążąc spory węzełek w rogu chustki, że pani Adela pod pozorem bólu głowy nie wyszła z swego pokoju, a nowa powiernica pilnie każdy krok swej poprzedniczki śledziła.

---

Prędko czas mija chociaż dni zdają się wlec powoli; w szczęściu ucieka niepostrzeżenie, ale i w nieszczęściu galopuje z równą szybkością. I Justyna chociaż z troską w sercu doczekała się tych dni pięknych; które ozywając całą przyrodę rozbudzają w piersi człowieka wspomnienia chwil przeszłych, chwil szczęścia tak drogich bo bezpowrotnych, chwil stanowiących najpiękniejszą epokę w życiu. A jednak niecieszyła ją ta piękna młodociana pora, bo do wspomnień chwil wiosny uczepiły się drugie: mroźnego nieba, chłodu ścinającego jej oddech; ściagała ją postać pani B. z syczącym głosem, z owem „Wiktor nigdy nie będzie twoim“ i febryczne drżenie przebiegało jej członki, chłód ścinał krew w żyłach; napróżno zażegnać

chciała te mary wspomnieniem chwil szczęścia, nadzieją lepszej przyszłości, wracały z większą jeszcze gwałtownością. I państwo T. dostrzegli nieraz ten smutek, ten wyraz boleści, wyraz męczeństwa malujący się na jej twarzy; pocziwe ich serca zasmuciła ta zmiana. Czyżby u nas jej źle było, mówili nieraz do siebie.

— I dla czego to panna Justyna taka smutna, tak często się zamysła — rzekła raz do niej pani T., może chcesz już nas porzucić, może nie dobrze jest u nas.

— O nie pani! mogłabym dać powód do tych wniosków; smutną nie jestem, pani się to wydaje.

— Może ci tylko nudno ślęczyć nad dziećmi; odwiedziłabyś pannę Konstancyę, to taka wesola, zaraz by było inaczej; a siedzieć i marzyć to i zdrowiu szkodzi.

Chwyliła się tego skwapliwie Justyna.

Wszakże Konstancya krewna Wiktora, miała ją odwiedzić, może co od niej się dowiem — myślała — może posłyszę o nim — choćby jego imię.

Dziwna rzecz, dla czego imię ukochanej istoty chociażby najobojętniej wymówione taki magnetyczny wpływ wywiera na nerwy kochającej, dla czego rozkosznem drżeniem przejmuje; to imię wymawia się czasem sto razy pomimowoli, z coraz innym odcieniem czułości, z innym dźwiękiem wydobywającym się z piersi. Dla czego to imię wymówione własnymi ustami brzmi jednak w uszach jak najpiękniejsza muzyka, dla czego? — pozostanie to zagadką, którą chyba serce kochające odgadnąć może.

Szczęśliwa pani T., że spędziła troskę z czoła Justyny, że odgadła życzenia, wyprawiała ją odwiedzić sąsiadkę, przyrzekając i nadal w tym względzie powagi swej używać; jednak kłopoty gospodarskie nie dozwoliły zwracać

na nią uwagi; nadchodził bowiem czas tak kłopotliwy, tak mozolny a tak pożądany dla gospodarza-rolnika, a pani T. wierna małżonka dzieliła każdą pracę, każdą troskę męża. Żłote kłosa gnące kornie swe czoła wyciągały ją na łany, gdzie z rokoszą nasycala się ich widokiem.

Justyna nie mając ciągłych świadków, wyplakiwała nieraz łzy duszące, ale było jej z tem lepiej. Nie obejrzeni się nawet rolnicy, zajęci sprzętem chlebobajnych plonów, jak słońce przestało sprowadzać skwarne upały, a zaczęło darzyć ziemię więcej łagodnem ciepłem, jak jesień ze swą zmienną pogodą nadchodziła.

Jasne promienie pogodnego słońca zaćmiły już nieraz szarawe chmurki, darząc kroplistym deszczem, niwecząc starania podjęte około wysuszenia snopów, to znów załśniło ślicznie słońeczko zwabiając na pole pracowitych ludzi. Ostatnie jednak dni sierpnia darzyły ziemię pogodą, jakby chcąc przeprosić za swe wybryki. Wszędzie widzieć się dały uszykowane jakby do boju szeregi snopów wygrzewających się i suszących.

— Jeszcze tylko jutro taka pogoda — mówiła pani T. do męża, to po południu trzeba zwozić jęczmień. Niegrzeczny sierpień, kaprysił, a my musimy robotnika tracić, przynajmniej dobrze, że się poprawił i dał go wysuszyć, lękałam się czy nie porośł.

— Będzie pogoda z pewnością — mówił pan Teodor, bo i dym w górę idzie; śmiało można jutro rozstawić jeszcze i po południu rozpocząć zwózkę. Niebo pogodne i słońce zajaśniało na nim, lecz powoli nasunęły się szare nieproszone goście, wyrzały ciekawie na ziemię i dalej lać potężnie bez przerwy.

Niepodobna opisać zmartwienie państwa T., tyle ro-

botnika zmarnowanego, tyle pracy zniszczonej, i znów rozwiązuj, rozstawiaj i susz!

— O to nieszczęście ten deszcz — powtarzała pani T. chodząc niespokojnie, tyle szkody, jęczmień można było dziś wozić i znów kilkanaście rubli wyleci; karze nas Bóg tym deszczem. Ale deszcz nie słuchał tych narzekań i lejąc bez przerwy przemoczył i snopy i strzechy domów tak, że aż strugi popłynęły; ledwo wieczorem ustał a niebo znów rozjaśniać się zaczęło.

Było to już około dziesiątej wieczorem, cała rodzina państwa T. zgromadziła się w około stolika z herbatą, rozmowa się nie kleiła bo gospodarze byli zmartwieni, a to wiele wpływa na humor wszystkich; każdy narzeka tylko na deszcz dzisiejszy. W tem huk niby turkot ciężkich powozów odbił się o ich uszy.

— Co to jest — zawołała Justyna drgnawszy z przestachu, huk jakby kilka powozów zajechało.

— Chyba to swatów pannie Justynie deszcz napędził, bo do szlachty takiej jak my, nikt ciężkim powozem nie zajężdża — rzekł śmiejąc się pan Teodor — a tymczasem huk nie ustawał.

— Jezus Marya — krzyknęła przerażona pani T., lecąc do kuchni — ratuj nas Wszechmocny!

— Co to! — krzyknął pan Teodor zrywając się z miejsca i biegnąc za nią.

— Co to! — wołały przerażone dzieci.

— Co to! — jęknęła zbladła Justyna, rzucając się szybko do okna.

A przez szyby jego jaśniało już czerwone światło pożarnej łuny, zalewając krwawym swym blaskiem dziedziniec. W kuchni zamieszanie, istnie dzień sądny; wszyscy tracą głowy, drabiny, wody, gasić, zamknij wołają, ale wypeł-



nić to nikt nie jest wstanie, wszystko opacznie się dzieje. — Łuna pożaru zwabiła już ludzi z pobliskich wiosek. — Iskry z komina gradem na strzechę lecą, płomień z niego bucha wysokim słupem i rozdzieliwszy się u góry, dwoma węzami schyla ku strzesze.

— Nie ma ratunku — wołała bezprzytomna pani T. — wynosić dzieci, ach dzieci! — i wbiegłszy do spiżarni rozsypuje wszystko po ziemi.

— Pieniądze, pieniądze — woła pan Teodor, ale ręce założywszy stoi zda się najobojętniej w świetle.

— Harysz — krzyknął nań harkawie nadbiegający żydek, harysz!

Na te słowa drgnął pan Teodor. O nie mam ja tu pod ręką harapa — zawołał oburzony, pokazałbym ci tego harysza — mnie Bóg nieszczęściem dotyka, a ty się natrząsaszw niewiaro!

Żydek odskoczył w bok przerażony mową i gestem nieszczęśliwego. — A tymczasem nadbiegli noszą wodę, kilku odważnych wskoczyło na dach bez drabin z wiadrami wody, z deską, istnie cudem Bożym podjęci w górę. — Słupem wznosi się płomień, gradem sypią się iskry, ale gasną na przemoczonej strzesie. — Poczciwi śmiałkowie deską przykrywają komin, leją weń wodę, gaszą ogniste wężyki przeciskające się przez rozpalone jego szczeliny. Przerażona dziatwa z żalonym łkaniem odmawia pacierze, i pani T. na kolanach z niemą modlitwą czy rozpaczą.

— Cudem dom uratowany — wołają wszyscy przytomni — gdy już ognia nie widać. — Gdyby nie deszcz dzisiejszy — wołali ci co na dachu, nimeśmy doskoczyli, dom byłby całkiem w płomieniach; nie byłoby już ratunku, lecz strzecha tak mokra, że się z niej leje, to i iskry gasnąć musiały.

Wyraz „uratowany“ odbił się echem radosnym w uszach zrozpaczonych mieszkańców.

— O! Boże — wołała pani T. co za dobrodziejstwo ten deszcz dzisiejszy, ileż on szkód, ileż nieszczęść nam oszczędził. — A ja śmiałam narzekać, śmiałam szemrać Twej woli, Tyś mię przekonał, iż wszystko jest dobre co od Ciebie pochodzi, iż wszystko dla dobra ludzi rozrządzasz. — Na podziękowanie za cud miłosierdzia Twego — mówiła dalej rozrzewniona — na przebłaganie Cię, w nadchodzące święto pójdę z całą mą rodziną do kościoła i spowiadać się będę. — Obyś Ty tylko przyjął miłościwie mą ofiarę, abym nią przebłagać i podziękować Ci mogła!

Powoli wszystko do porządku wracać zaczęło, tłum się rozchodził i tylko kilku życzliwych zostało na straży, bo ogniowi wierzyć nie można. Gęsta ciemność zastępująca krwawą łunę zapanowała w dziedzińcu, swąd spalenizny unosił się jeszcze; w kuchni płynęły czarne strugi wody, nieład okropny, pokoje przepelnione odorem sadzy. Wszyscy drżeli pod wpływem wyżej opisanego wypadku, wszystkim sen z powiek uleciał, a jednak wszyscy nieśli Bogu rzewną dziękczynienia modlitwę. Nie jeden świadek tej okropnej nocy, zadrzy i dziś jeszcze na jej wspomnienie i pochyliwszy dumne swe czoło przyzna, iż i dziś Bóg cuda czynić nie przestaje, iż cudem uratował słomianą strzechę i korzących się w niej przed wolą Jego mieszkańców.

---

Zaświtał i dzień ósmy września; słońce słało promienie na ziemię, ale nie było już ani radosnego świer-

gotu, ani tyle zieleni, ani odgłosów radości, jak w czasie podnoszącej się do życia wiosny. Cisza panowała wszędzie. Był to raczej dzień piękny, dzień pogodny, ale już w życiu chylącego się do grobu starca, odarty z uludy zachwytyw młodocianego wieku, patrzący na ubiegłe swe lata, na swe trudy, ~~za~~ zebrane plony mozolnej swej pracy z uśmiechem zadowolenia, z własnem przeświadczeniem że jego życie nie ubiegło na próżno. — Żółte rżyska sterczały wszędzie na polach. Głos tylko dzwonu parafijalnego kościoła, wzywając wiernych przed ołtarze Pana Zastępów, rozlegał się daleko po polach огоłoconych, w gaju który był niejako jego przedsionkiem, nad strumykiem szepejącym nieustannie modlitwę, myjąc stopy dźwigającej go góry. — I słońce chciało być świadkiem hołdów, które składa ziemia swej Pani i ono chciało wespół z nią ucześć Jej święte ołtarze; przecisnęło się przez szyby zakratowanych okien, nadając blasku kwiatom, w które Ją ręka wiernych stroiła i odbijając się na żółkniejących już listkach gaju. — Taka uroczyść, taka świętość panowała na owej górze, jakby całe chóry aniołów napełniać ją miały. Z różnych stron zmierzających ku niej długimi przysadami, spieszył lud pobożny, w porządku, w cichości i w skupieniu ducha. — I państwo T. dzień ów powitali z radością i od nich ze skruszonym sercem śpieszono. — Justyna również chciała otrząść się z myśli ku ziemi ją wiążących i ona pragnęła oczyścić swą duszę; ale dla czegoż nie dzieliła ich radości, a myśl ziemską zakłócała co chwilę jej pokój. — Dlaczego nadzieja i smutek dręczyły ją? Przeczucie jakieś szeptało, iż ujrzeć go dziś musi, rozum zaprzeczał temu zupełnie. Pod wpływem tych uczuć, śpieszyła prędko, zda się, iż zapomniała o całym świecie, o osobach ją otaczających, zda się pędzona niewidzialną siłą,

wyprzedziła daleko panią T. a jednak nie zatrzymała się i nie uważała tego.

W tem turkot nadjeżdżającej bryczki doleciał jej uszu; cóż tak dziwnego w tym dniu, gdy każdy spieszy błagać łaski lub dziękować niebu. — Dlaczego jednak ten turkot oddalony przygwoździł do miejsca Justynę? dlaczego i kroku postąpić nie mogła? — może wyczerpnęły się siły w uprzednim biegu? Coraz głośniej dolatywał turkot i kłęby pyłu wznosiły się bliżej i bliżej, a ona stała jeszcze i obejrzeć się nawet nie miała siły.

Z za kurzu wychyliła się wreszcie bryczka z młodym mężczyzną i w równym prawie w nim wieku kobietą.

— Stój! — krzyknął ua woźnicę i w tejże chwili znalazł się obok Justyny.

— O nieba! — można-li oczom swym wierzyć — wszak to Wiktor.

Ujął za rękę, ścisnął ją lekko i kilka kroków uszli w milczeniu.

Tymczasem towarzyszką jego badawczo przyglądała się obojgu zdziwiona i ciekawa.

— Jakże dawno już nie widzieliśmy się — wyszeptał, ale — jakby przypominając coś sobie — nie znasz jeszcze mej siostry.

— Estello — zawołał na towarzyszkę, która w tejże chwili opuściła swe miejsce, zbliżając się ku idącym. Estello — panna Justyna Z., którą życzyłaś sobie tak poznać; uściskajcie się i niech serdeczniejsze stosunki niż prosta znajomość łączą was.

— Cóż tak piechotą — rzekła Estella, gdy już znajomość zawiązaną była.

Justyna musiała opowiadać o wypadku jaki się zdarzył przed kilku dniami i o ofierze pani T.

— Pani T. ani jeszcze widać — rzekła Estella obracając się i patrząc na drogę, a czekać, to i spóźnić się można, — lepiej siadaj ze mną, Wiktor niech się lokuje na koźle; miło mi będzie mieć taką towarzyszkę. Wiktor poparł radę siostry nie tylko słowem, ale wejrzeniem, uśmiechem i lekkim ścisnięciem ręki, nie była wstanie oprzeć się takiej pokusie; nie przyszło jej na myśl, iż pani T. może się gniewać za niedotrzymanie towarzystwa. Bryczka się szybko oddaliła unosząc razem Justynę.

Tłum wychodzących z kościoła napełnił gaik i górę. — Znajomi się witali; każdy z swą troską, z wiadomością złą lub dobrą, podzielić się pragnął.

W tym tłumie ochoczym Justyna ujrzała śpieszącą ku niej Konstancję, która zaprosiwszy Wiktora i jego siostrę by ją odwiedzili, szukała również Justyny. Stało więc na tem, iż zabierze ją z sobą. Już miano siadać do bryczki, już Justyna podała rękę Wiktorowi na półgodzinne odwiedzenia, gdy nieukontentowany głos pani T. odbił się o jej uszy.

— A to pięknie pauno Justyno — prędzej bym się śmierci spodziewała; porzucić nas jak trzpiotka jaka i po spowiedzi ścisnąć rękę kawalera.

Słowa te jak trąba archaniola przeraziły Justynę; i przyznając im słuszność zarumieniła się okropnie.

— I cóż w tem złego szanowna dani — odezwał się protestując Wiktor — oddaj co jest Boskiego Bogu, a co ludzkiego ludziom, tak Chrystus Pan powiedział.

Wmieszła się i Konstancya uniewinniając Justynę i oznajmiając, iż ją z sobą zabiera i dopiero wieczorem odwiedzie. Udobruchała się w krótkce i pani T., Justyna tylko była nieswoją; nie chciała jechać do Konstancyi, pragnęła



niec od całego świata, a jechać i wyrzec się widzenia Wiktora, nie miała siły.

Pani T. żałując już swej prędkości ścisnęła Justynę, na pożegnanie życząc, aby przyjemnie ten dzień u Konstancyi spędziła.

Wszyscy wyruszyli więc razem.

Wiemy już z ust Wiktora, że Konstancya jest jego krewną, ale nie jeszcze o jej stanowisku w świecie. — Konstancya należała do rzędu tych osób, których Bóg skazał na pracę, ale dał im poczucie jej godności. nie zastanawiając się nad rodzajem, nie klasyfikując ją, wiedząc, iż jakkolwiek jest, zawsze o tyle podnosi człowieka, o ile próżnowanie znikczemnić go może. To też nie myślała długo, nie zastanawiała się: czy zajmie więcej lub mniej świetne stanowisko, zwłaszcza, gdy okoliczności zmusiły ją do pracy na kawałek chleba dla siebie i dla starej schorzałej matki. Zajęła pierwsze lepsze miejsce jakie się nadarzyło; — miejsce panny która dogadzać musi fumom pani, przetknąć nie jedno upokorzenie a myśleć ciągle o strojach i przysmaczkach, któremi pani nieraz jak swem własnem arcydziełem się przechwala. Spełniała to wszystko Konstancya z taką swobodą i godnością, że nikt nie śmiał jej ubliżyć, że nawet szanować i podziwiać ją musiano.

Dom w którym była, należał do bogatych ludzi, świadczyła o tem jego powierzchowność, świadczył dziedziniec starannie wygracowany, usiany klombami, altankami, osadzony w krąg rozłożystemi kasztanami, które wieńcem opasując go, dawały latem przyjemny chłód pod cieniem swych gałęzi. — Mieszkała w nim sama pani, — bo mąż jej podobno za morze się wybrał, — kobieta średniego wieku, szatynka, z jedyną córką, którą niezmiernie pieściła. Żyła jednak

oszczędnie i rzadki gość, rzadki znajomy zawitał do niej. Dwór jej składał się tylko z Konstancyi i rządcy starca, człowieka cichego, potulnego, a jednak zdrowo biorącego rzeczy. W prawdzie raz pomimo całej powagi wieku, pomimo zdrowego sądu, popełnił głupstwo, a teraz pokutować zań nie przestaje i chyba go śmierć rozgrzeszy. — Głupstwem tem było, iż pan Symon ożenił się na starość i to z młodą jeszcze, która potrzebując wiele na stroje, wyparła go z własnej zagrody na rządcę, odbierając najkrutniej sama jego zasługi.

Starzec ten oddawna znajomy Konstancyi, daleki jej kuzyn, nosił ją kiedyś na rękę, on to nawet zarekomendował ją tutaj, uważając jako swe dziecko. Konstancya lubiła go także, lubiła gdy stare rzeczy gwarzył o jej dzieciństwie, znajomych, rodzicach i często chwilkę swobodną w jego towarzystwie spędziła; to też i dzisiaj aby niezrobić swym gościom różnicy, aby nie ścieśniać siebie i swą panią, zaprosił ich do oficynki.

— O kochany Wiktorze — wołał uradowany pan Symon — no, poczciwy, tęgi chłopak, jakże się miewasz; a i panna Estella, toć to kiedyś na rękę nosiłem; i panna Justyna, kochani szanowni goście; no proszę że, proszę do pokoju. — Wybaczcie tylko, że tam tak pusto, ot prawdziwie jak u pustelnika.

I nie przesadził pan Symon tem porównaniem. Dwa pokoiki służące mu za mieszkanie, puste, z oknami wychodzącymi tuż na sadzawkę, na stopy wznoszących się koło niej kamieni, na klombik brzozowy osłaniający wpół gospodarze zabudowania, mogły być wyborym samotnika schronieniem. Pierwszy pokój miał kilka nędznych krzesłek, stół ogromny zarzucony papierami, regestrami, książkami różnego kształtu; drugi zawierał prawie toż sa-

mo i tylko łóżko schludnie zaślane zajmowało jedną ścianę, a u okna wznosił się ciemno brązowy krzyż ogromnych rozmiarów, z figurą prawie o połowę mniejszą od naturalnej wielkości.

— Proszę wybaczyć, że na chwilę was opuszczę — rzekł pan Symon wychodząc, aby wydać jakieś rozporządzenie.

Konstancya krzątała się około przyjęcia gości, Estella wybiegła za nią. Wiktor z Justyną zostali sami. — Stali obok siebie, krzyż ich tylko przedzielał.

— Nie spodziewałem się widzieć ciebie — rzekł biorąc jej rękę i niosąc do ust.

Justyna nie wiedziała prawie jak i kiedy usta jej spoczęły na czole Wiktora i oprzytomniała dopiero, gdy gorące tchnienia jego uczuła na swej twarzy, chciała się cofnąć, ale ją przytrzymał i całując w rękę przemówił:

— I znów się gniewasz na mnie, a przecież Ten — rzekł wskazując na krzyż — sprowadził nas do stóp Swoich, i błogosławi ten pierwszy uścisk.

Wkrótce młode towarzystwo napełniło śmiechem puste pokoiki samotnika.

— Jakżem wdzięczny panie Konstancyi — mówił uszczęśliwiony starzec — za sprawienie mi tej niespodzianki; jak śpiew słowika brzmi mi w uszach wesoły śmiech młodości. Starzec sierota, rozgrzeje się choć na chwilę ciepłem waszego życia; a i ja kiedyś byłem młodym, i ja inaczej patrzyłem na świat daleki.

Już słońce się schylać zaczęło, przypominając wesołemu towarzystwu że już czas w drogę. Konstancya otrzymawszy urlop na kilka dni, z radością przystała na spędzenie ich w domu państwa C. Wśród śmiechu i figlów wesołej Konstancyi, wyruszono ulicą balsamicznych topoli. Pan Sy-

mon odprowadził ich aż na drogę, podziękował raz jeszcze za przyjemność mu sprawioną i pożegnał z uczuciem.

— Wiecie co — rzekła Konstancya, — niech konie idą naprzód i poczekają na nas w N. a my pójdziemy. Taki piękny a rzadki dzionek w jesieni, powinniśmy z niego korzystać. Przystano na jej propozycyę i konie pomknęły ku drodze prowadzącej przez łąki na stromą górę, ogołoconą z okrywających ją plonów.

Szli wszyscy razem słuchając jakiejś poważnej rozprawy Wiktora; w tem Konstancya jak ptak puszczonej na wolność, chwyciwszy rękę Estelli zawołała: — Wiesz co Estello, przestań przysłuchiwać się Wiktorowi; on zawsze tak poważne, tak mądre rzeczy prawi, że aż strach słuchać takim jak my prostaczkom. Justyna to co innego, ona go rozumie, ale dla nas, to istna strata czasu. — Chodź lepiej razem ze mną, mam ci wiele rzeczy do powiedzenia. I wzięwszę ją za rękę prędko poszły przodem, zrazu się oglądając na pozosałych, potem suknie ich tylko migwały, aż nareszcie góra ich zupełnie zakryła.

— Co to za ptaszek z tej Kostusi — rzekł Wiktor patrząc za nią.

— No jakże ci się powodzi moja Justynko — odezwał się po chwili — musisz wiele cierpieć a ja nie spytałem cię nawet o to.

— Przeciwnie, zasmakowałam w cichej słomianej strze-sze, szczęśliwszą tu jestem niż w pałacu.

— Mówisz to by mię pocieszyć, ale serce kochające tak prędko zaspokoić się nie może; pani T. nie podoba mi się okropnie, a dzieci muszą to być małe potworki.

— O nie — to zacna, dobra kobieta i dziatwa pocziwa; dobrze by mi tu było, gdyby...

— Gdyby co — podchwycił Wiktor patrząc w jej oczy z uwagą.

— Gdyby nie te straszne przeczucia co dręczyć mnie nie przestają. O niewiesz jak okropnie cierpiałam.

— I ja szalałem z bólu, gdy powiedziano mi, iż wychodzisz za Władysława H., gdy panna Gertruda z rozpłomienioną twarzą mówiła mi, iż fortuna jego skłoniła cię do oddania mu ręki.

— Mój Boże co za intryga! — Ale słyszałam że Gertruda wyjechała od Adeli.

— I ja słyszałem coś podobnego — rzekł z uśmiechem. Ale ty cierpisz, tyś smutna — mówił patrząc na nią, jakby cię gromy nieszczęść przywalały. Rozjaśnij się choć na chwilę, uśmiechnij, zapomnij o tych przeczuciach, przy mnie powinny one pierzchać daleko; bo inaczej posądzę cię, iż nie chcesz bym był szczęśliwym — dodał tonem wymówki.

— Wiktorze, możesz-że tak mówić. — Jabym nie chciała tego! A cóż mi jest droższem w świecie? Poświęciłabym życie za nie. Dla twego szczęścia i siebie się wyrzeknę, bądź pewnym tego.

— Niegodziwa, możesz-że tak mówić; bądź szczęśliwym bez ciebie? Więc chcesz mego szczęścia — mówił dalej, z gorączkowym rozdrażnieniem chwytając ją w swe objęcia i tuląc drgające usta, o Justyno, Justyno! ty nie wiesz jakie piekło wre tu w piersi mojej!

— Wiktorze! puść mnie, ty drzysz, ty cierpisz; czemuże cię zraniłam?

— Niezem, rozpacz mnie tylko porywa, iż moją drogą istotę rzucać muszę; iż ująwszy w objęcia, muszę znów na tak długo opuścić cię.

— Czy naprawdę żal ci mnie porzucić, o gdybym mogła iść z tobą.

— Ufam, że poszłabyś; ale myślisz, iż miałbym cię ska-



zać na ciężką pracę, na niedostatki, iż mógłbym patrzeć na boleść twoją, ja co bym cię chciał otoczyć szczęściem, dostatkiem, pokojem. Poczekaj, ja się wybiję, zwalczę' zawistne losy i jak zwycięzca poprowadzę cię w tryumfie.

— Zapomnisz o mnie — rzekła cichym głosem, zajmie cię wówczas piękniejsza, bogatsza może.

— Dziwna rzecz, dla czego wy kobiety tak nie wierzyacie, tak do posadzeń jesteście skore; cóż ci mam mówić: gdybym mógł wyjąć me serce i pokazać na dłoni ile cię ono kocha, pokazałbym z pewnością; ale i wówczas wątpię, czy uwierzyłabyś temu i Bóg wie, czy roić byś nie przestawała — rzekł z gorzką wymówką, Dręcząc się sama i mnie dręczysz zarazem. Spojrzał na nią, pierś mu się wznosiła gwałtownie, usta drgały. Każdy jego krok, każde poruszenie śledziła niespokojnie Justyna.

— Wiktorze — przemówiła wreszcie miękkim, łagodnym głosem — Wiktorze, dobry mój, szlachetny, wszakże ci ufam bez granic; daruj więc, iż mą otwartością obraziłam cię, ale wszak przyrzekliśmy być szczeremi; wszak każdą myślą, każdym uderzeniem serca przysięgliśmy dzielić się wzajemnie.

— Dziecię, mógłżebyś się gniewać na cię, mnie tylko żal, że się dręczysz napróżno, a ja temu zaradzić nie mogę; kiedyś jednak — dodał z uśmiechem — gdy już swych uczuć przed światem ukrywać niebędziemy, ile razy tuląc się do mej piersi powtórzysz, żeś szczęśliwa; będziesz musiała przeproszać mię za swą niewiarę.

— To ci tego nie powiem.

— O ty mój aniołku, moja pieszczotko, zobaczymy, zobaczymy! Ale patrz, oto już i góra, a za nią czeka nas rozłączenie, tam znów obcemi dla siebie będziemy.

Jakoż w istocie zatrzymali się u jej podnóża.

— Justyno — żegnam cię, cichym, drżącym głosem

przemówił — żegnam, aby samemu pójść do walki z przeciwnościami życia, aby zaprządz się znów do jarzma pracy, nie zachęcony uśmiechem, nie rozgrzany promieniami twych oczu.

I patrzył na nią wzrokiem, który ją zawsze przejmował drżeniem; nareszcie ująwszy w pól i tuląc do siebie powiedział: — a cóż ty mi powiesz na pożegnanie.

— Wiktorze — idź dobijaj się szczęścia, walcz z życiem, ale pamiętaj, iż umrę gdy mnie zapomnisz. O nie — zawołała jakby przerażona własnymi słowy — ja będę żyć i wówczas jeżeli ty tylko będziesz szczęśliwym.

— Uścisk długi, przeciągły, namiętny, skleił ich usta.

— O zgrzybiali starcy — mówiła śmiejąc się Konstancya, ujrzawszy ich na górze zwolna idących i zaczęła biedku nim. — Czy nie na raku jechaliście tutaj, że tak prędko przybywacie — wołała z daleka.

— Oj ty szalonego pułku towarzyszu, czyż każdy myślisz chce lecieć z wiatrem w zawody, jak ty to czynisz.

— Mama mówi, że jeszcze takiego trzpiota jak Kostusia, to się jej w życiu spotkać nie zdarzyło — rzekł zwracając się do Justyny — a przecież mama nie od dziś już żyje; bo to proszę pani co ona nam czasem figłów napłata. Mama co nie bardzo lubi swawolę, nie raz aż do płaczu się śmieje.

— Dobry kuzynek obmawiać mię zaczął, a sam nie uwierzysz Justyno jakie ładaco, jaki bałamut; już w siedemnastym roku jak się zakochał, to myśleliśmy że oszaleje.

— Dałabyś pokój tym bredniom, kto wiele mówi, to trudno by mu zawsze co rozumnego przyjąć mogło do głowy; obaczysz nie daruję ci — rzekł żartując — doniosę pani Symonowej, że męża jej bałamucisz, wydrze ci oczy za to

— Mnie? — o z tego nic nie będzie! Jak doniesiesz wydrze Symonowi, a moje jak dziś wesołe na świat patrzeć będą.

I tak żartując doszli do bramy państwa T., gdzie konie czekały, pożegnali się z Justyną i bryczka uniosła ich okrywając kłębami pyłu. Justyna długo patrzyła z natężeniem za oddalającymi się, patrzyła na kłęby kurzu coraz się dalej i dalej wznoszące. Próżno wyrzekła po chwili, próżno dopędzić bym pragnęła — kurz...

— Czy ciocia Justyna chce kurz dopędzać — zadzwieczał przy niej głosik sześciolatniego chłopaka.

— Tak mój Jasiu, dobrze mówisz, tylko kurz.

— To ja pobiegnę i co tego kurzu narobię — wołał uradowany chłopczyzna biegnąc po drodze. — No proszę doganiać — wołał klaszcząc w dłonie i skacząc z radości — tyle go jest!

Justyna szybko pobiegła za nim i porwawszy na ręce małego swawolnika, pieszcząc poniosła go do pokoju.

Od chwili jak się nasza powieść poczęła, wiele zmian zaszło w interesach rodziny C. Lata dzierżawy wyszły i pan Tomasz powrócił znów do rodzinnej zagrody; ale jakież ona smutny przedstawiła widok. Malutki domek z ganeczką, którego dach podpierały dwa stare chwiejące się słupy, jakby wichrem rzucony na szczyt stromej góry, był prawdziwym obrazem starca skołatanego życiem i przeciwnościami. Bo też nim wichur kołatał nie raz na prawdę, że aż ściany się chwiały. Dziwiono się nawet, jak on dotąd ostać się potrafił i nie jeden sąsiad nazwał go złośliwie „chatką na kurzej łapce“. Napróżno byś szukał starej gruszy która nie raz chłopską chatę ocienia.

Zabudowania gdzieś się za górę schowały, przysiadły, jakby się wstydząc swej nędzy. Pola śliczny czarnoziem,

pokrywały się silną zielenią, ale niestety! perzu, którego były dzierzawca długo-pejsy Mota rozmnożyć nie omieszkał. O wrotach nie ma co mówić tam, gdzie kołka, płotu nie było. Oto do czego powrócił pan Tomasz C. Trzeba więc było na gwałt radzić, ale cóż, gdy ani czem urobić pola, ani co siał nie było. Do tego i sam pan Tomasz znękany długimi przeciwnościami osłabł na duchu i sile. Musiał więc Wiktor opuścić państwa C., aby jakkolwiek porządek w nędznej kolebce swego dzieciństwa ustalić.

Podparł chwiejące się budowy, ogroził podwórze żerdziami, wynalazł jakieś wrota, które reperując sam, namoził porządnie ręce, nieprzyzwyczajone do podobnej pracy i zaciął do krwi w niejednym miejscu. Zrobiwszy wszystko co tylko się dało z wysiłkiem uczynić, gdy mu już ani szeląga w kieszeni nie zostało, postanowił znów poszukać sobie pracy, ażeby chleba rodzicom nie jeść darmo, jak po wiadał. O już teraz będę egoistą, mówił czasem Justynie, dość pracowałem dla rodziny, może mnie drugi brat zastąpić, bo zamiast zbliżyć do upragnionego celu, coraz bardziej cofać się muszę. I teraz interesa nie przyszłyby do tak opłakanego stanu, gdyby nie ta niczem nie wytłómaczona obojętność papy. Zdaje się jeszcze człowiek w sile wieku, a już tak zdzieciniał, iż cieszy się nawet, gdy zewsząd resztki mienia rabują mu; tylko w domu despota—uwagi sobie zrobić nie pozwoli, a potem radź Wiktorku, ale już i dziesięciu nas zaradzić temu nie potrafi. — Tylko mi mamy szkoda!

Pomimo to, ile razy popełniwszy jaką niedorzeczność, pan Tomasz wezwał syna, przybywał Wiktor natychmiast, wytrząsał ostatki zapracowane, nie sprzeciwiając się, nie robiąc wymówki; wstając przed ojcem z uszanowaniem ile

razy ten do niego przemawiał. Justyna rachując chwile, w których go ujrzeć miała, żyła jak ów pielgrzym w pustyni, kierujący się myślą i sercem ku oazie. Bo też każda chwila ujrzenia go, była w jej życiu tem, czem oaza w pustyni, czerpała w niej siłę na dalsze życie. Nieraz myśl iż może go już nie ujrzy, iż może o niej zapomniął, w rozpacz ją wprawiała.

Tak więc upływało życie sieroty, chwile jej pierwszej młodości. Zazdrościła nieraz Konstancyi, że tak swobodnie, jak ptaszek spędzała życie.

— Powiedz mi Justyno — rzekła ta raz do niej przybierając poważną minę — czybyś tak potrafiła. — Kochałam szalenie młodego człowieka, miłością, jaką tylko serce siedemnastoletniego dziewczęcia ukochać może, ale wkrótce odkryłam w nim wady, poznałam, iż nie wart był tego. Otrząsałam się z tego i w tejże chwili wyleciała mi i miłość z serca; powiedz, potrafiłabyś to uczynić?

— O nie Konstancyo — nigdybym tego nie potrafiła!

— Szkoda ciebie nie będziesz nigdy szczęśliwą w swoim życiu.

— Zadrżała na te słowa Justyna, do czegożby one zmie-  
rzać miały, czyżby Konstancya bez myśli je wyrzekła, albo też miała w tem cel jaki. I piekło zawrzało w jej duszy i wszystkie widma stanęły naraz szydząc z jej miłości. — A jednak za żadne skarby świata, za wszelkie szczęście na ziemi, nie wyrzekłaby się nigdy swej miłości. Bez niej nie umiała myśleć, żyćby nawet nie potrafiła. Ona już wpiła się w jej istotę, stanowiła główny warunek życia.



Obszerne łąny pszenicy rozciągają się daleko. Przez nie droga wiedzie w jedną stronę na trakt pocztowy, w drugą, do szerokiej karłowatemi wierzbami sadzonej ulicy. Obok stawy i sad ogromny.

Dziedziniec pokryty zielonym kobiercem, a w środku wznosi się dom duży i chociaż nie świeci nowością, zaleca się gustem i wygodą. Cała ta posiadłość należy do pana marszałka W., który oddawszy resztę majątku synom, zostawił ją sobie by do śmierci mieć niezależność. Nie trzymał jednak rąk na sobie; bo mu wiek w interesa wglądać nie dozwalał, a doświadczenie zmuszało nie wierzyć zupełnie sumienności panów rządców. Wypuścił więc w dzierżawę, ekcepował co mu było do utrzymania domu potrzebnem i biorąc grosz gotowy, siedział jak u Boga za piecem.

Posiadłość pana W. dzierżawił niejaki Ferdynand S., zgrzybiały już prawie starzec, otoczony sześciorgiem dzieci, z których jeden dziarski młodzieniec wyręczał go w trudach gospodarstwa, a jasnowłosa dziewoja ukończywszy pensyą objęła zarząd domu. Dwie szatynki przypominały swoim okiem pogodę włoskiego nieba. Dwóch chłopaków już nieraz dosiadało konia. Kto była ich matka, o tem rozmaicie mówiono. Cieszył się pan Ferdynand widokiem dzieci, ich swawolą, śmiechem ożywiającym dom cały, ale nie przestał na tem. Dostatni sam przez się a zbogacony dzierżawą, starał się o danie im zarówno wszystkim starannej edukacji. I otóż gdzie los zaniósł Wiktora szukającego pracy. Młody, przystojny, powierchowności ujmującej; nic więc dziwnego iż zwrócił uwagę jasnowłosej gospodyni, która dbając o swą renomę, starała się by mu na niczem nie zbywało. W istocie młoda gospodyni zalecała się porządkiem i słu-

zbę umiała utrzymać; to też pokoik Wiktora umieszczony, uporządkowany, zastawiony doniczkami ulubionych mu kwiatów, miły przedstawiał widok. A jednak Wiktor, chociaż od pół roku zostawał w domu pana Ferdynanda, nie zwrócił nawet uwagi na otaczające go osoby. Zawsze w swym pokoju zadumany, z troską, z którą mu było do twarzy, drażnił z dniem każdym młodą gospozię i błękitnookie jej siostry. Nieraz na palcach podkradały się pode drzwi jego pokoju, podsłuchując i podglądając. I może mimowolnie wymówione imię Justyny doleciało ich uszu, bo odtąd to imię powtarzały często ich usta.

— Ej pan C. martwi się czegoś, mało je i zmizerniał u nas okropnie — mówiła raz u stołu panna Antonina — zwracając się w połowie do ciotki, w połowie do niego, a tam gdzieś może jaka panna Justyna przeklnie mię za to i ogłosi jako złą gospodynię, morzącą głodem swych domowników.

— Któżby śmiał na panią tę potwarz rzucać — odezwał się Wiktor, drgnawszy słysząc imię Justyny — ale śmiałbym też ją zapytać, z kąd pani przyszło tem imieniem mię prześladować.

— Cha cha cha! — rozśmiała się wesoło blondynka — jakże zgadywać umiem. — Na chybił trafił wyrzekłam go, ale po magnetycznym wpływie jaki ono wywarło na panu, wiem, iż ta o której się pan tak często zamysła, która mu troską zasepiła czoło, jest Justyna.

— Powiedzże pan nam teraz czy ładna? Czy młoda? czy bogata? podchwyciły chórem dwie młodsze.

Możeby gradem posypał się dalszy szereg zapytań, gdyby zmarszczone czoło pana Ferdynanda, nie wstrzymało tę ciekawość.

— Ma cudne oczy — rzekł poważnie Wiktor.

Odtąd dano za wygraną prześladowaniu; odtąd nie po-

słyszał imienia Justyny, chyba go własne wymówiły usta, lecz natomiast mocno zaczerwienione oczy panny Antoniny świadczyły, iż musiała nie jedną łzę wycisnąć. Nieraz te oczy śledziły go.

Gdy po skończonym roku chciał ich opuścić, pan Ferdynand tak go usilnie prosił, tak nastawał i płacę podnosił, że Wiktor nie mając słusznych powodów pozostać musiał.

Różnie mówili ludzie o tych szczególniejszych względach; jedni, że o tak dobrego i sumiennego nauczyciela trudno, musi mu więc nadskakiwać; drudzy, iż pan Ferdynand z serca życzy go sobie na zięcia. Tymczasem coraz mniej ukrywane przywiązanie, nie podobna było nie dojrzeć i Wiktor dostrzegłszy je, chociaż nie podzielał, uśmiechnął się z zadowoleniem. Podobał mu się ten hołd piękności jego oddany. Zaczęto go nawet panu S. przesładować, licząc zarazem ile z żoną tysięcy do kieszeni wpłynąć mu może.

Wiktor zrazu oburzył się na to, potem wziął za żart i sam żartował.

Może też kiedy przyszło mu na myśl, iż dobrze by to było, gdyby choć z takich źródeł kilka tysięcy do kieszeni wpłynąć mogło, lecz myśl o Justynie natychmiast zażegnała w nim złego ducha. Nie sposób było, jakeśmy powiedzieli, nie dojrzeć namiętnego przywiązania panny Antoniny; szeptali o tem nie bardzo cicho słudzy i sąsiedzi, lecz czy młody nauczyciel podzielał to uczucie, nikt odgadnąć nie potrafił.

I znowu schylone słońce pomknęło wyżej w swym biegu i znowu oschła pleśń zimy. Trawki i drzewa się zazieleniły i wszystko przebudzone z letargu, nowem zawrzało życiem.

Justyna jednak tego nie widziała, nie czuła, pozbawioną będąc widoku tego, którego obraz w duszy nosiła, do którego ciągle zwracała się myślą.

Nie jedna też wieść o domu pana Ferdynanda przekształcona, zwiększona przechodzeniem z ust do ust, nie mała się przyczyniła do tego odrętwienia. W ciągłym pasowaniu się nadziei z rozpaczą, wyczerpnięty się jej siły i na pogodny uśmiech zdobyć się już niepotrafiła. Państwo T. wytłumaczyć sobie nie mogli, dlaczego pogodne jej czoło nasunęło się zmarszczkami, dla czego usta tak łagodnie uśmiechnięte zacisnęły się, dlaczego oczy zajaśniały jakimś gorączkowym blaskiem. I znów pani T. radziła lekarstwo, jak dawniej i znów wyprawiała do Konstancyi; lecz znać nie skutkowało ono, a przeciwnie, coraz gorszy wywierało skutek, jakby po coraz większej dozie trucizny.

— Nie pani, nie pojedę do Konstancyi — mówiła raz Justyna do pani T., która ją usilnie do tego skłaniała, to taki trzpiot, aż mnie gniewa patrzeć na nią. Wolę poważniejsze towarzystwo, wolę książkę i zajęcie moje.

— Ależ moje dziecko, w tym wieku to ci ta powaga niekonieczna, ja sama kiedyś przesadzałam płoty swawoląc, a dziś, gdy Bóg wiekiem i dziatwą obdarzył, umiem być poważną.

Lecz wesołość Konstancyi nie była jedynym powodem zniechęcenia do niej Justyny. Nie raz tak szczebiocząc jak ptaszek, wyszydzała jej miłość, którą badawcze dojrzało oko; nieraz nadmieniała, iż Wiktor zmienić się może, radząc ażeby pozbyła się tej miłości, bo inaczej szczęśliwą nie będzie. I cóż — dodawała czasem, gdyby nawet Wiktor był ci stałym, to każda rzecz przecież ma swój koniec! Ach Justyno jakież prozaiczny jest koniec miłości: mąż i piskliwe dzieci: — brr... jak by mnie kto lodem obrzucił. Jeszcze

zawrócić głowę ładnemu chłopcu i pomarzyć o nim dzień jaki, to co innego; a potem dosyć. Marzenia szkodzą zdrowiu, to już stan nie normalny. A ty moja Justyno, co tak ciągle marzysz, zastanów się tylko, jak sobie zdrowie nadwątlasz. Marzyć tak długo o jednym, to za wiele.

— Co tobie w głowie świta — odpowiadała zwykle Justyna — ja nigdy o nikim nie marzę, to ci się przywidziało.

Jednak każda taka rozmowa nową zasadzała cierń w sercu, krwawiąc go okropnie, ale umacniała jej miłość.

— On mnie kocha, myślała pocieszając się, bo cóżby skłoniło go do wyznania czegośby nie czuł, a to powinno mi już wystarczyć, powinno wszystkie wynagrodzić troski; ale gdyby zapomniał? — gdyby... Tu serce jej okropnie się ścisnęło i napróżno chciała wmówić mu, iż choć odepchnięta, potrafiłaby żyć jego szczęściem i być szczęśliwą — napróżno wszelkie władze duszy zaprzeczały temu, bo każde uczucie w nas jest egoistyczne. Jedno tylko serce matki potrafi wyrzec się, potrafi zapomnieć o sobie, nie niepokojąc się o wzajemność.

Pocziwa pani T. niespokojnie śledząc Justynę, była prawdziwym jej katem, nie przypuszczając nawet tego. Szczerze pragnąc rozsepić jej czoło a nie umiejąc poradzić sobie, różnych próbowała środków; do odwiedzenia Konstancyi już nie namawiała, ale za to ta zapraszana przez nią często, dręczyła nieustannie Justynę.

— Odwiedz moje dziecię swych krewnych i panią R. — mówiła raz do niej zrozpaczona niepowodzeniem swych usiłowań wpadając na myśl, iż może to ją rozerwie. Czas jeszcze nie roboczy, koniki wolne, zabawisz tam dni parę.



Przystąpiła na to Justyna, dziękując, iż tak szczerze, tak serdecznie nią się zajmuje.

— Dałabyś pokój tym podziękowaniom: jak wrócisz do nas wesoła przynajmniej tak jak poprzednio, najmiłszą mi to będzie podzięką. Wszak cię uważamy jak nasze dziecię — dodała rozczulona.

Wiele zmian zaszło od czasu jakżeśmy pożegnali wesołych państwa R., przyjmujących życzenia sąsiadów, by cały rok równie wesoło upłynął. Nie wiem czy ziściły się te szczerze i nieszczerze życzenia, czy cały ów rok spłynął im bez troski, lecz następny, wywarłszy całą swą wściekłą nienawiść, wypchnął zmiłego cichego domku, w którym tyle im chwil szczęścia spłynęło.

Z rezygnacją przyjęli państwo R. prześladowanie losu. poddali się mu w cichości szczęśliwi przeświadczeniem, iż nie zasłużyli na nie; lecz nie upadli na duchu. Schludny domek małego miasteczka przyjął biednych wygnańców cichego domku. Pan R. zaczął pracować na utrzymanie rodziny, pani R. ta malutka istota spotężniała nieszczęściem, pozbywszy się sługi, energicznie zajęła się kłopotami około działy i domu. I pani Adela potrafiła przytłumić rodzące się w jej sercu uczucie; głos rozsądku czynnie przyczynił się ku temu. Dziwna rzecz, tak krótki przeciąg czasu, tyle zmian poczynił w interesach i dziedzinie uczuć człowieka.

Justyna ze zdumieniem przyglądała się ciężkiej pracy nieprzyzwyczajonych do niej rąk pani R. i oznakom tkliwego przywiązania ku sobie pani Adeli. Nie wierzyła jej jednak, lekając się czy to nie nowa zasadzka, nie nowy wybieg, by ją udręczyć. To też odetchnęła swobodniej u pani R.

— Patrz Justyno do czego przyszliśmy — mówiła ta ścisłając ją serdecznie.

— Nie boli mię jednak bieda moja, lecz że nas przyjaciele mijają, niby nie widząc. Dobrze przynajmniej, że ty taka poczciwa; lżej człowiekowi kiedy ujrzy kogo, co mu chwile lepszej przeszłości przypomni. A pamiętasz jak wówczas na nowy rok bawiliście u nas wesoło. Była to już ostatnia w domu naszym zabawa; w tym dniu było tak gwarno, tyle osób, przyjaciół, a potem — nikt ręki w biedzie nie podał, nikt nawet pocieszyć nie przyszedł; nikt i na dzień nie dał schronienia chorej dziatwie, gdy zawistne losy z szczęśliwej kolebki ich wyгнаły. Ale chodź do pokoju, nie uważałam, że trzymam cię na progu, nastawię tylko samowar i będziemy sobie gwarzyć. I Wiktor jest od paru dni u nas, pomaga mężowi wykończać pracę, bo on na termin wydołać nie może; pewno teraz zajęty jest pisaniem.

W istocie siedział on pochylony nad piórem i rzucił je dopiero wtedy, gdy pani R. zawołała, oznajmując mu przybycie Justyny.

Nie mamy potrzeby opisywać, jak się ucieszyła jego widokiem. Tymczasem pani R. szybko się zwinęła i wkrótce samowar szumiał na stole. Wśród uścisków i częstych „poczciwa,“ opowiadała potem szczegółowo o swem nie-szczęściu. Szybko im czas upłynął, ale schyłek dnia przypomniiał Justynie o drodze.

— Aj zostań, zostań dziś u nas — wołała — cóż ci tam pilnego.

Justyna jednak pozostać nie mogła, bo konie z N. naza-jutrz rano po nią przyjść miały.

— No to ci wypłatałam figła — rzekła zmieszana — odesłałam konie, cóż teraz będzie?

— Czyż to tak daleko, żeby się nad tem zastanawiać.

Dzień tak śliczny przespaceruję te parę wiorst z przyjemnością.

— To prawda że blisko. W niedzielę cała arystokracja miasta spaceruje aż do bram państwa B. — i ja raz jak wyszłam z dziećmi, to byłam tuż pod sadem.

— W towarzystwie to przyjemnie — ale samej. Odprowadziła bym cię z Wiktozem — rzekła po chwili, ale jak widzisz nie mogę domu rzucić; niech cię chyba on odprowadzi. Ale nie idźcie przez miasteczko, bo zaraz ztąd jakieś komeraże wyrosną — dodała zwracając się do Wiktora. Odprowadziła jeszcze kilka kroków ku wskazanej drodze i pożegnała ją, śpiesząc do domu.

— Jak się dobrze stało — rzekł Wiktor, gdy już zostali sami, że Serafina odesłała konie; uniosłyby cię one i nie moglibyśmy i słów parę zamienić.

Justyna nic mu nie odpowiedziała, lecz i ona nie gniewała się za figel pani R.

Ścieżka, którą szli w tej chwili ześliznąwszy się jak wąż ku drodze pocztowej sadzonej rozłożystymi brzozy, rozpostarła się u stóp góry Mendoga, najeżonej pagórkami mogił z tkwiącemi w niej by strzały krzyżów, z oderwanym wierzchołkiem, który spadając do stóp swych, odkrył i trumnę na szczycie będącą. Poruszone zwłoki, może którego z sławnych rycerzy, smutny przedstawiała obraz nicości ludzkiej. Kawał oderwany deski dozwalał zajrzeć w zagrobowa jego dziedzinę każdemu, kto by zechciał wdrapać się na urwisty wierzchołek. Czaszka zdaleka już bieląła a ogrom jej dowodził, iż musiała należeć do jednego z dawnych olbrzymów.

— Spojrz Justyno na tę czaszkę — rzekł gdy stanęli u stóp góry, co to za ogrom. Żydowstwo z miasta biorąc tu piasek tak podkopali, że kawał wierzchołka oderwać

się musiał. Był to pewno wielki rycerz — rzekł po chwili. Że go na samym szczycie pochowano.

— Poczekaj — mówił dalej, może mi się uda wdrapać na nią i zajrzeć we wnętrze grobu. W tejże chwili rzucił się szybko na górę. Justyna śledziła go niespokojnie. Wkrótce dotarł do otworu, z którego bielała czaszka, zaglądał weń przez chwilę i znowu zaczął zbiegać na dół. — Co za kościotrup — mówił, gdy znalazł się znów obok Justyny. Nie wiem co bym dał, by się tylko dowiedzieć, jakie jest podanie o tym na sam szczyt wyniesionym rycerzu. Że rycerz, dowodzi jakaś okropnie zardzewiała broń — ale któż by to był?

— Może jaki towarzysz broni Mendoga — rzekła Justyna.

— Czaszka i koście już skamieniały, trumna czarna jak węgiel, ale zdaje się mocna jeszcze i tylko naciśnięty ciężarem ziemi, kawał jej górny odlecieć musiał. Ależ to olbrzym, olbrzym — powtarzał co chwilę, teraz już takich ludzi nie ma na świecie.

Ścieżka przesunawszy się u stóp góry, przecięła nędzne domki przedmieścia, zwracając się w prawo na szeroki by żółta wstęga gościniec. Szli cicho w milczeniu, które przerwał tylko wykrzyk Wiktora, podziwiający jeszcze ów kościotrup. Cudny widok przedstawiał się oczom z tej drogi: z jednej strony góra najeżona piętrzącymi się domami, kopułami kościoła; z drugiej znów góry po których wije się żółty gościniec, lecz boki ich przystroiły gaiki leszczyny, zda się ręką ludzką sadzone. Po bokach drogi rościągają się daleko żyzne łąny, a jeszcze dalej widnieje lasek. To też, gdy wiosna do nowego życia powoła, gdy



słońce załśni i oświeci ten krajobraz, pełno w nim życia i radości.

— Wiktorze, wracaj już — rzekła cichym doń głosem.

— Czy ci me towarzystwo jest uciążliwym — rzekł — spojrzawszy z uśmiechem.

— Możesz-że tak mówić.

— Więc na cóż mię odpędzasz.

— Nie wrócę, przeprowadzę cię aż do bramy. Wiesz co — ciągnął dalej, żałując, że drapałem się na górę, zmęczenie i jakieś smutne uczucie zostały mi w zysku. Dobrze przynajmniej, że droga przez ocieniony leszczyniak prowadzi to i słońce dokuczać nie może. Ale otóż i ogromny kamień, doskonała z niego ławeczka; muszą tu często przechodnie odpoczywać. Usiądźmy na nim, ogromnie zmęczony jestem; całą noc pisałem. Będę korzystał z czasu — rzekł, gdy już usiedli — wypalę papierosa i może mi się uda z dymem puścić smutne uczucia jakich doznałem u wnętrza trumny.

— I ja będę korzystał z czasu — odrzekła uśmiechając się Justyna - i oplotszy szyję rękoma, przytuliła mu się do piersi.

— Dziecko spieszczone, rozpieszczone dziecko — zawołał śmiejąc się Wiktor — więc tęskno ci do mnie! — a toż mię niedawno odegnać chciałaś.

Po chwili szli znowu, rozmawiając o sobie, o swych zamiarach na przyszłość. Justyna szczęśliwa skreślonym obrazem przyszłości, zapomniała wszelkich trosk, wszelkich przecuć, czuła się tak szczęśliwą, jak nigdy. Ścieżka schylając się wreszcie z pochyłości gór oznajmiła iż kres podróży niedaleki. Właśnie przyszli do darniowej ławeczki, miejsca ulubionego spacerujących z miasta.

— Tu cię już pożegnam — rzekł Wiktor — ale ponie-



waż tak jest wcześniej i słońce nie skryło się nawet, posiedziemy jeszcze razem, bo może długo przyjdzie nam czekać na podobną chwilę.

— Może nigdy jej się nie doczekamy — rzekła ze smutkiem Justyna.

— Twoje przecucia się nie sprawdzają Justyno, moje są lepsze; one mi szepczą zawsze, iż znów ujrzę cię. Słowa pieśczoły starły prędko chwilowy smutek z jej czoła, i znów zajaśniało szczęściem.

— O wy moje małe aksamitne wąsiki — mówiła gładząc je i wdzięcząc się do niego. Muszę jeden odkąsić — dodała — chwytając go ustami.

— Chciałaż byś mię oszpecić?

— Chciałabym, zanadto pięknym jesteś i to mię właśnie przeraża.

— Kochałażbyś brzydkiego?

— Dla mnie zawsze pięknym byłbyś.

Uścisk skleił znowu ich usta, ale i smutek przebił się w tej chwili na twarzy Justyny.

— Zkąd ta chmurka — rzekł gładząc jej czoło — wyspowiadać mi się z niej musisz.

— Wiktorze — rzekła cichym drżącym głosem — Bóg zawsze patrzy na nasze uściski! O! jeżeli karząc za nie, nie dozwoli nam nigdy śmiało się do serca przycisnąć. Ja się dziś tulę do ciebie a przecież wiem, iż nie powinnam tego czynić — daruję mi to Bóg?!

— Masz się więc za występłą?

— Jestem nią, kochając cię tak namiętnie, tuląc się do twej piersi tak śmiało, z taką ufnością, jak gdyby to była pierś matki mojej.

Wiktor zadrżał.

— Justyno! żałujesz więc tego, bo nie kochasz. Gdy-

byś mię szczerze kochała, nie myślała byś tak, byłabyś pewną, iż szlachetnym i miłym Bogu jest ten uścisk, iż w nim dusze nasze pożenione, nie rozłączą się nigdy, iż przyjdzie czas, że się zawsze tulić do serca mego będziesz, bo szlachetna pierś cię przytula.

— O ja cię kocham szalenie — rzekła tuląc się do niego — ale ty drżysz? — Aniele mój, czego ty drżysz?

— Zadrzałem nad niepodobieństwem wmówienia ci nadziei jutra.

— Możemyż wmawiać ją sobie? — Dziś nasze — jutro nie nasze, i ty mój dzisiaj — twego serca wydrzeć mi dziś nikt nie potrafi — lecz jutro — jutro może zawistne losy wydrą mi ciebie!

— Justyno! wątpię czy serce to do mnie należy w tej chwili, że możesz mnie tak dręczyć.

— O ja cię kocham całą siłą mej duszy, pierwszą i ostatnią miłością, i znowu ukryła swą twarz na jego piersi.

— Kochasz, a czemuż nie ufasz mi nigdy? — Czyż myślisz, że nie uważałem jaka bladeść powlokła wówczas lica twoje, gdy ten trzpiot Kostusia plotła co ślina do ust przynieść jej zdołała. — Czyż słowo żartu może zachwiać wiarę w prawdziwie ukochaną istotę? — Justyno nie wierzę ci teraz. — Twarz mu się okropnie zachmurzyła, lica zbladły, myśl gdzieś daleko odbiegła.

Długo Justyna tuliła dłoń jego do ust zanim uczuła lekki jej uścisk, zanim słowo przebaczenia wyżebrać mogła.

— Żegnam cię — rzekł wstając z ławeczki — kochaj mię, ufaj i nie dręcz się na próżno, a niebawem ujrzymy się znowu.

Justyna tak silnie oplótła go rękami, aż się zachwiało. Słowa jej skonały na ustach, napróżno błagał ją Wiktor, choć o jedno na pożegnanie. — Drżała tylko konwulsyjnie,

cisnąć się mu do piersi. Długo płakała potem, gdy zgiął z jej oczu.

— Czyżbym go raz ostatni widziała — wołała łamiąc ręce, że taka rozpacz ogarnia mą duszę! O nie, ja ujrzę go jeszcze! I podjąwszy z ziemi zerwany przez niego listek, uniosła z sobą cisnąc do ust namiętne.

Trzy lata minęły od chwili jak Wiktor wyznał swe uczucia Justynie. Czwarta wiosna od tej, która widziała pierwszą chwilę jej szczęścia ubarwiała na nowo ziemię; czwarty liść zazielenił znów drzew czoła. A ów zeschnięty listek dowodził, iż rok upłynął odtąd, jak go po raz ostatni widziała. Justyna cisnąc często do ust zeschniętego świadka swego szczęścia, powtarzała:—O ja przecież ujrzyć go muszę! I na nowo przywoławszy siłę panowania nad sobą, oblokła się pozorną swobodą, choć rozpacz ścisnęła jej duszę. Pożegnała już była cichy domek w N., aby zająć znów nowe miejsce. Sliczny dworek u stóp miasteczka leżący, przytulił teraz wędrowną ptaszynę. Tu u stóp ołtarza błagała często o potrzebne jej siły. W jednym z dni takich Justyna z myślą o Wiktorze wracała do domu, gdy nagle odgłos szybkich kroków obił się o jej uszy. Wiktor pospiesznie ją gonił.

— Zdaleka ujrzałem i biegłem, aby przywitać się przynajmniej — rzekł podając jej rękę

— Odwiedzisz-że mnie spytała; o sto kroków ztąd mieszkam, państwo P. wyjechali, jestem sama.

— Nie mogę — pan Ferdynand czeka na mnie — natychmiast jedziemy.

— Spojrzała mu w oczy i wzrok ich spotkał się z sobą, lecz nagle opuściła go, łzy się jej zakręciły i uściskawszy dłoń jego oddaliła się spiesznie.

Długo potem Wiktor C. błądził po pustych ulicach miasteczka.

Od chwili w której go Justyna jak przez sen widziała, wątpiąc czasem czy nie wyobraźnia postawiła go przed nią, napróżno chciała się wywiedzieć o nim. W parę miesięcy po opisanem zjawisku wieść o domie pana Ferdynanda, trzęsąc chciwe plotek miasteczko, rozległa się i po jego okolicach. Wieść ta zwiększona, przekształcona, ubarwiona mniej lub więcej stosownie do wymowy opowiadającej osoby, doszła niejednokrotnie uszu Justyny. Opowiadano czasem bajki z tysiąca i jednej nocy, lecz główna treść wszystkich była iż panna Antonina całe dnie zanosì się od płaczu, iż młody nauczyciel zniknął gdzieś bez wieści, iż pan Ferdynand szarpiąc siwe włosy woła: że nie tylko czujność ziemskiej władzy, ale potęgi nieba i piekła do odszukania go pobudzi; iż padał marszałkowi do nóg błagając by mu w tem pomógł, i że już kroki do odszukania Wiktora poczynione zostały.

Nie mamy potrzeby opisywać jakie wrażenia każda ta wieść zostawiała w duszy Justyny.—To nieprawda mówiła czasem do siebie, czego to ludzie wypleść nie mogą.—Czegożby miał uciekać—ale jednak wówczas gdy spojrzałam mu w oczy dostrzegłam iż mówił nie prawdę; musi więc być coś w tem.

Tymczasem wieści krążące nie ustawały i dziwnym trafem Justyna każdą wysłuchać była zmuszoną. Słuchała je jednak z taką swobodą, że najdomyślniejsi nie mogli przypuścić, aby w niej inny interes prócz prostej cieka-



wości wzbudzały; lecz gdy pozostawała samą, wściekła rozpacz nią miotła.

Jednego dnia po raz dziesiąty wysłuchawszy z uśmiechem opisane wieści, wybiegła szybko z domu, kierując swe kroki ku ścieżce wiodącej do długiego rozłożystemi brzożami wysadzanego gościńca. — Była to właśnie ta sama, którą po raz ostatni szli razem. — Czaszka białała jeszcze z otworu góry, ale Justyna nie zwróciła na nią uwagi. Piers jej wznosiła się tłumionem łkaniem, ręce łamały konwulsyjnie. — Deszcz drobniutki skrapiając jej twarz i oczy mieszał się ze łzami, które próżno powstrzymać chciała, — nie czuła jednak tego. — W uszach jej dzwoniły słowa Wiktora tak drogie dla niej, miesząc się z rozlegającemi wieściami, przed oczyma migwały sceny z dziejów jej miłości z jakimiś widmami splecione.

Nagle uczuła magnetyczny wpływ czyjegos wroku, aż się obejrzeć musiała. — Jakaś osoba w czerni spieszyła za nią. — Oprzytomniło to Justynę; otarła szybko łzy płynące, przywdziała zwykłą maskę obojętności, postanawiając dozwolić prześcignąć siebie. — Spiesząca za nią zbliżyła się i porwawszy za rękę zawołała: Więc to ty go ukryłaś — powiedz gdzie on! W głosie jej było tyle nienawiści, że aż Justyna zadrżała. — Włos przybyłej jasny, spadając w nieładzie wymykał się z pod chusteczki, pierś wznosiła przyspieszonym oddechem i gniewem. — Była prawdziwym widmem.

— Pani przemówiła spokojnie Justyna, chociaż przecucie jej szepnęło kto to był taki, nie mam przyjemności znać pani, pewno mię wzięłaś za kogo innego.

— O nie! ja wiem żeś Justyna Z. i goniłam za tobą jak wyszłaś z domu. — Nienawiść moja wskazała mi ciebie! Tyś sprawczynią mego nieszczęścia: Ty skryłaś Wiktora, ale



naprózno! niebo i piekło wzruszę by go odszukać. — Ja wiem że go ukryłaś, wszakże cię gonił niedawno, chociaż dał mi słowo iż cię nie ujrzy już więcej. — Czemuż zaporą jesteś mego szczęścia.

Justyna dumnie podniosła czoło; twarz jej była spokojną, surową. — Spojrzała na przeciwniczkę i wzrok ich spotkał się z sobą. — Antonina długo patrzyła na nią. — Dziwnie sprzeczny obraz przedstawiały te dwie naprzeciw siebie stojące osoby, tak obce, a zbliżone tem samem uczuciem. — Antonina z rozwianym włosom, z rozdrażnieniem, z grą uczuć namiętnych, malujących się dobitnie na jej twarzy, z nienawiścią cechującą każde słowo, podobną była do rozdrażnionej lwicy. Justyna spokojna, dumnie niosąca czoło daleko była wznioślejszą. — Uczuła to Antonina i wzrok swój spuściła ku ziemi z patrzącej na nią spokojnie, dumnie nawet. — Justyna jeszcze przez chwilę topiła swój wzrok w przeciwniczkę i zwróciła się poważnie zostawiając ją na miejscu. Ona go nie kocha, mówiła do siebie Antonina, bo inaczej nie byłaby tak spokojną — a więc, nieprawdę donieśli mi ludzie; a jednak, mówiła dalej, nie raz on wymawiał jej imię. — Wówczas nawet gdy przysięgał mi miłość słyszałam jak imię to z ust mu się mimowoli wyrывało, lecz ona nie dzieli tego uczucia. — Wszakże ile razy starałam się go wybadać, odpowiadał mi tylko: to osoba pełna dumy, która o trzy kroki od siebie z uszanowaniem trzymać się każe. O czemuż taką nie byłam, może Wiktor nie byłby mię rzucił, nie okryłabym siebie i siwych włosów ojca sromotą! — ale, pocóż żałować przeszłości; wszakże mi ojciec przyrzekł go odszukać.

Justyna zaczęła nareszcie wierzyć wieściom dochodzącym ją z coraz wiarogodniejszych ust. — Więc się sprawdziły

straszne przecucia wołała konwulsyjnie, łamiąc ręce. Bądźcie przeklęte sny mej młodości; bądźcie przeklęte krótkie chwile szczęścia. — Szarpicie jak potępieńca zbolałą pierś moją—rozniećcie ogień piekielny. Jego oszczędźcie, tylko nie stańcie mu nigdy jak nieme świadki zdrady. — Wiktorze dodała drżącym jakby tłumionego łkania głosem, nie myśl że cię przeklinam w tej chwili, o!—gdybyś był tyle szczęśliwym ile ci życzę.

Ileż razy potem musiała Justyna powtarzać sobie, iż Wiktor ją zapomniał nie mogąc pojąć nawet znaczenia tego. Wiktorze! wołała czasem, ja cię tak kocham — czyż ty byś mógł mię zapomnieć, ty tak szlachetny, to niepodobna! To znów śmiała się z swej boleści. Justyno mówiła do siebie, więc już się wszystko dla ciebie skończyło,—więc już dla ciebie szczęścia niema na świecie; wszak ten któregoś kochała zapomniał o tobie — i może kiedyś szydzić będzie z twej miłości; wszak ten — do którego piersi z taką ufnością się tuliłaś, jest dla ciebie zupełnie obcym, odebrał ci go los zawistny. Jakże przeżyjesz tę stratę?—jak istnieć będziesz z zawiedzioną nadzieją?!— O gdyby śmierć!.. O nieprawda, ja śnię to wszystko, wołała znowu; o! gdybym mogła otrząsnąć się z tych marzeń—gdybym mogła ujrzeć go jeszcze!

I znów zaświtał jak niegdyś dzień ósmego września i olśnił, ogrzał krzepniejącą już przyrodę. I znów tłumnie tłoczył się lud do podwoi świątyni, aby składać swe dzięki, aby o nowe błagać dary. — Justyna w jednej z nich kłęzczała u stóp ołtarza, ale zdawała się o nic nie błagać, za nic nie dziękować; zdawała się nie rozumieć, nie czuć co się w około niej działo. — Najpierwsza tu przybyła, tłum ścisnął ją coraz więcej, potrącał, ona nie czuła tego. —

Usta zaciśnięte, ale twarz miała spokojną, żaden muskuł w niej nie drgał. Podobniejszą była do skamieniałej niż do żywej.

— Justyno, ozwał się głos tuż przy niej. — Na dźwięk jego drgnęła, odwróciła się, podała machinalnie rękę do przywitania i znów zapadła w odrętwienie.

— Justyno odezwał się znowu głos Estelli, gdyż to była ona, jeszcze jest wczesnie, summa nie prędko będzie, wyjdźmy z kościoła. Justyna wstała i precyzyjnie się powoli przez tłum zebranych wyszła za nią. Ale przez tę krótką chwilę znów zebrała siły i przygotowała się do nowych boleści. — Uśmiech smętny, łagodny osiadł na ustach, twarz była spokojną.

— Co ci jest? przemówiła pierwsza widząc ją zalaną łzami.

— Nieszczęście łkając odrzekła Estella.

— Cóż takiego? Czy nie chory kto broń Boże?!

— Jakto, więc nie wiesz że Wiktor się żeni.

— Więc to całe twe nieszczęście rzekła śmiejąc się i starając się nadać mowie dźwięk wesoły; o gdyby cię nigdy inne nie spotkało! Więc tego tylko płaczesz, wstydz się, powinnaś cieszyć się że najstarszy brat twój żeni się.

— Ależ ja nie takiej sobie bratowej życzyłam, jakże nie mam płakać.

— Odkąd to siostry wybierać mają sobie bratowe, że ty innej życzyłaś sobie. Zdaje mi się iż ta kwestya, wyłącznie do braci należy. Przestań więc płakać, bo jeszcze dowie się o tem: zrazisz ją tem bardzo. A broń Boże dostaniesz się na jej łaskę, zobaczysz jak ci to odpłaci. Ja-bym sama lepszą nie była.

— O gdyby przynajmniej Wiktor był z nią szczęśliwy; ale nie spodziewać się tamtego. Wczoraj przyjeżdżał prosić rodziców o błogosławieństwo; był tak blady jak z gipsu i słowa wymówić nie mógł. Ja wiem że on kochał kogoś innego, rzekła spojrzawszy na nią uważnie, tylko ta oczarowała, usidliła i przykuła go gwałtem do siebie.

— Estello odezwała się Justyna spokojnie, o ile znam pana Wiktora, mam go za tak szlachetnego człowieka, iż przypuścić nawet nie mogę, aby kochając inną jak powiadasz, dał się usidlić, oczarować. On ją kocha z pewnością. — Będzie więc szczęśliwym, nie trwóż się jego losem.

Głos jej był tak spokojny, nie zdradzał ani cienia gwałtu który sobie zadawać musiała, iż Estella pożegnała ją z przekonaniem, że brat był jej zupełnie obojętnym, że nie rozbudził nigdy żadnego żywszego uczucia w jej sercu.

Zaledwie Justyna ujrzała się samą w pustych pokojach samotnego dworku, gdy turkot nadjeżdżającego powozu, oznajmił jej czyjeś przybycie. — Więc się spiknęli dziś na mnie, żeby mi dokuczyć, pomyślała spiesząc na ganek.

Justyno zawołał głos z powozu, nawet nie będą wysiadać, wstąpiłam cię zabrać, zdziczałaś zupełnie teraz i nawet odwiedzić nie chcesz nas. — Był to głos pani Adeli, która nie widząc Justyny w kościele, gdyż ta wywołana przez Estellę, nie wróciła tam już więcej, przyjechała zabrać ją z sobą.

Ileż walczyć nad sobą musiała by nie jęknąć na widok tych miejsc, do których ją tyle wspomnień wiązało— wspomnień już tylko. Ileż spojrzeń badawczych znieść



musiała, gdyż pani Adela odgadywała jej uczucia i postanowiła teraz wybadać je dokładnie.

— Dziś była pierwsza zapowiedź Wiktora C. rzekła siedząc u stołu.

— Któż to taki zapytał naprzeciw siedzący Wacław, gdyż i on przyjechał odwiedzić swych krewnych.

— O bardzo przystojny mężczyzna, kobiety za nim szalały. Szkoda tylko, dodała lekko się uśmiechając, że tak tragiczno-komicznie kończy. — Był nauczycielem u pana S. tam się zakochał w jego córce, ale gdy mu ta miłość spowszedniała, uciekł znów szukać nowego ołtarza by nieść ofiary serea, ale pan S. odszukał go, i musi się żenić. Jestem pewną że i na przyszłość bałamucić się nie przestanie. — Będzie błagał o litość, dodając że go gwałtem ożeniono, rzekła spojrzawszy na Justynę, którą w tej chwili trupia pokrywała bladość. — Jakże niecierpliwie czekała ona końca obiadu by ten zakończył jej męki. — Szybko potem wymknęła się z pokoju, kierując swe kroki przed sad do gaju.

Śliczny gaj dębowy powszechnie dębniakiem zwany, poważnie uchylał swe głowy i trząśł zielonemi włosy, jakby chciał otrząść smutne wrażenia. — Może widok bladej, złamanej boleścią Justyny napełniał go współczuciem; a może — gdybyśmy mogli zrozumieć co wiatr szeptał mu w tej chwili żałośnie, szumiąc nad głowami, pojęlibyśmy jego smutno — poważną postać. Może przynosił mu on nieodzowny wyrok Stwórcy: iż niebawem będą nim władać inne ręce, nie te co go tak czule pielęgnowały, pozwalając wzrastać i wznosić ku niebu dumne swe czoła; że za jakieś przestępstwo woli Wszechwładnej, przyjdzie doń kat z toporem w rękę, zrąbywać braci dębów i hożych dębczaków ulubionych mu synów; iż je poćwiertują, potną



ostremi zębami piły, ażeby gdy już żyć przestaną, ku większej sromocie pojsć w postaci beczek służyć jako naczynie do obrzydłej gorzałki.—Może i napewno wiatr mu zwiastował iż wkrótce wybije jego godzina; może też niewidzialna ręka w tej chwili pisała mu owe fatalne: Mane Tekel Fares, bo dębniak strasznie posmutniał i chociaż przyroda pokojem i szczęściem oddycha, on jednak jęczy żałością, a wiatr daleko jego łkania roznosi. — Justyna i ztąd uciekać musiała, bo jęki starych dębów, zamiast uśmierzyć, podsycaty wściekłą jej bolesć. — Błada, drżąca wróciła znów do pokoju; — jęknąć nawet nie mogła.

— Dziwne są charaktery uczuć ludzkich, mówił Wacław do Adeli, w chwili gdy weszła Justyna; jedni przelatują myślą i sercem jak motyl z kwiatka na kwiatek; drudzy piją przez całe życie z czary trucizny, która rozlewa jad swój zabijając ich powoli; są znów inni, których gorycz życia odrazu powala, odejmując czucie i rozum.

— Wiesz co, odezwał się do Justyny, nie byłaś tutaj jak opowiadałem o smutnym wypadku; który mię niedawno dotknął.—Jeden z mych kolegów dobry, szlachetny chłopak, zakochał się i dostał pomieszania zmysłów; nie ma funduszów i muszą go w domu obłąkanych umieścić.

Dziki, suchy śmiech wyrwał się z piersi Justyny.

— Jakże można mieć tak złe serce zawołał oburzony Wacław; śmiać się z cudzego nieszczęścia.

— Wacławie rzekła, kto nie ma funduszu, to go w domu warjatów zamykają; więc ty i mię wkrótce tam umieścisz. — Wybiegła do przyległego pokoju i znów śmiech rozległ się głośno. — Częściej płaczemy z radości niż śmiejemy się z bólu; to też tym okropniejszym, tym dziakszym wydaje się nam śmiech taki. Uszom nieprzy-

zwyczajonym do jego tonów wydaje się on jak świst szatański.

— Co to jest! zawołał zbladły, przerażony Wacław, czego się ona śmieje.—Toż zakrawa na śmiech szaleństwa.— Pani Adela prędko przyskoczyła, porywając ją za rękę. —

Na twarzy jej malowało się nieklamane współczucie, bo widok nieszczęścia wywołała je zawsze w sercu kobiety.— Justyno przemówiła do niej łagodnie, a gdzie twój rozum —gdzie twe siły w które tak zbrojną byłeś; potrzebne ci teraz i przywołaj je. — Śmiech ei ulgi nie przyniesie wypłacz się lepiej. — Czyż ty oszaleć pragniesz jak ... i słów parę szepnęła do ucha.

Śmiech wkrótce ustał i Justyna była znów spokojną; tylko Wacław pojąć nie mógł, dla czego wieść o pomieszczeniu zmysłów jego kolegi, taki wybuch szalonej radości, szalonego śmiechu wywołał; ani też słów siostry, ani tych któremi pani Adela zażegnać ów paroksyzm pragnęła.

Długo potem rozlegał się często ów śmiech w pustych pokojach dworku i służba słysząc go czasem, rozmaite wnioski czyniła.—Niektórzy nawet żegnali się i spluwając mówili: iż chyba szatan, tak się śmiać potrafi.

Długim gościńcem zmierzając do karłowemi wierzby sadzonej ulicy prowadzącej do znajomej już nam dzierżawy pana S., spieszą parokonne bryczki zaprzężone pocztowemi końmi. — Odgłos dzwonek rozlega się daleko po polu, a wesoły śmiech jadących urzędników, bo ich na pierwszy rzut oka poznasz, oznajmuje iż mają być świadkami, a może i wziąć udział w jakiejś dość pociesznej scenie. — Ruch na dziedzińcu, zajęte i w półszydersko w pół tajemniczo uśmiechnięte twarze uwijającej się służby każą się domyślać iż tu ma się odbyć coś niezwykłego. —

W jednym z pokoi wznosi się na przedce przyrządzony ołtarz, przystrojony w kwiaty i świece, usłany drogiemi kobiercami. — W przyległym doń młody człowiek z gorączkowem rozdrażnieniem na twarzy chodzi szybko, niecierpliwie. — Ruchy jego dobitnie mówią, iż wszystko co się w koło niego dzieje, nie jest mu obojętnem. — Ubrany z wytworną elegancją, często pociąga w różne strony swe kołnierzyki; poprawia je co chwilę z taką gwałtownością, jakby chciał na nich spędzić swój zły humor. Każdy się domysli iż owym młodym człowiekiem jest Wiktor C. lecz jakże niepodobny w tej chwili do tego któregośmy widzieli na początku powieści. Bładość twarzy równa się niemal białości kołnierzyków, usta drgają, oczy błyszczą jakimś okropnym ogniem. W innym znów pokoju kilka kobiet krząta się pospiesznie, wydostają białe suknie, wieniec i kwiaty: strój ślubny panny młodej; ale i wśród nich prócz pośpiechu nie dojrzysz ani krzty weselości. — Doprawdy, dom pana S. był w tej chwili prawdziwym rebusem — ołtarz i ślubne stroje kazały się domyślać weselnego aktu, smętna cisza nasuwała mimowoli myśl pogrzebu.

Nareszcie ozwały się dzwonki w dziedzincu, zaturkotały bryczki przed gankiem. Wysiadł sędziwy kapłan i kilku mężczyzn. Ha! krzyknął mimowoli Wiktor, już przyjechali, i zadrżał całym ciałem. Więc już zginęła dla mnie nadzieja! mówił do siebie. — Justyno nigdy nie będziesz moją! Ha! samochcąc cię straciłem. Pójdę wkrótce jak galernik przykuć się do taczki, pogrzebię się żywcem w nienawistnym mi związku — a jednak, słusznie mię to spotyka — zasłużyłem na to; lecz za cóż ty Anielo grzebać musisz zarówno

twą najdroższą nadzieję — potrafisz śmiechem swobody stąpać po jej zgliszczach, jak mi to niegdyś mówiłaś.

Gwar zalał dotychczasową ciszę pokoi; każdy czynić zaczął jakieś uwagi. Już wstępne przygotowania do nastąpić mającego aktu poczynione zostały. Ołtarz zajaśniał blaskiem świec i każdy wyglądał już tylko państwa młodych. Rozwarły się wreszcie podwoje i weszła w gronie sióstr Antonina. Strój panny młodej nie owiał jej jednak tym urokiem, jakim otacza zwykle oblubienicę nie tylko w oczach ulubionego lecz i wszystkich przytomnych. Wkrótce jak posąg nieruchomy stanął koło niej Wiktor i kapłan przystąpił do ołtarza. Ślub łącząc dwa kochające serca, uświęcając w oczach Boga i ludzi ich miłość jakże pożądanym jest dla szczerze, szlachetnie się kochających. — Nie czują nawet ciężaru tych złotych kajdan, których ogni w nic, prócz śmierci zerwać nie zdoła. Łzy nawet w tym dniu płynące nie mącą pogody jego, nie przeszkadzają weselić się współbiesiadnikom. — Lecz jakże odmiennym, jak wyjątkowo różnym był ślub Wiktora i Antoniny. — Nie widać na nich tego szczęścia, tego spokoju; nie otaczają ich wesołe twarze życzliwych i krewnych. Wiktor wiezie swą żonę do skromnej zagrody ojca. — Małeńki domek pana C. przybrał się trochę na przyjęcie nowych swych panów. U progu spotkała ich matka z tradycyjalnym chlebem i solą, uścisnęła, przytuliła do serca synowę, aż ta wybuchnęła głośnym długo tłumionym płaczem. — Spojrzał na nią Wiktor, brwi mu się zmarszczyły, zagryzł wargi i wyszedł spiesznie z pokoju. — Szczęśliwy Wiktorek mawiali jego koledzy, gwałtem szczęście wlazło, choć mu się opierał. Żonka z dukatami, to nie żart na ciężkie czasy



W istocie interesa państwa C. znacznie się poprawiły ożenieniem Wiktora. Pieniądze wniesione przez żonę nie jedną zaspokoily potrzebę. Część dobytku z obory pana S. napełniła ich obórkę, zanim nawet przyjazd państwa włódych nastąpił. — Jednem słowem, Wiktor objawszy rządy folwarku stanął od razu na stopie jeżeli nie zamożnej to niezaprzeczenie dostatniej. — Zdawało się wszystkim iż do szczęścia nie powinno im nie brakować.

Nieraz Antonina, kryjąc łzy przed mężem, śledziła ruchy jego niespokojnie, chwytiała z bijącym sercem oddalony dźwięk jego głosu, ale napróżno chciała w nim dostrzedz choć cień rodzącej się ku niej miłości. Nieraz nawet otoczywszy go ramieniem w imie przysięgi błagała o nią. Jestemże złym mężem odpowiadał wówczas łagodnie, lecz tak obojętnym głosem, że aż biednej kobiecie pękało serce. Przysięgłem ci być mężem, nie rzucę cię do śmierci — dotrzymam tego, czegoż chcesz więcej? I chmurny usuwał się od żony natychmiast pod pozorem jakiejś pilnej czynności. Nie sarknął jednak nigdy, nikt z ust jego nie usłyszał skargi, biedak z zupełną rezygnacją włókł przykutą doń taczkę.

Wkrótce płacz dziecka rodząc w nim nieznanę dotąd uczucie zbliżył na chwilę do żony. Czasem wpatrując się w uśmiech jego twarzyczkę z wyrazem nieokreślonej miłości tracił ten obojętny dźwięk głosu, którym do żony zwykle przemawiał a ta uszczęśliwiona miększym jego tonem, chwytając na ręce małą córeczkę, tuliła się doń namiętnie. Spojrz co za oczy mówiła raz śmiejąc się szczęśliwa matka.

Wiktor pochylił się nad dzieckiem, spojrział mu w oczy, zadrzał i zbladł okropnie. — Cisnąwszy potem po-



nure wejrzenie na żonę zadał sobie pytanie: zkad ono ma te oczy?

Antonina zdziwiona tą zmianą spojrzała też na dziecię i zimny dreszcz przebiegł jej członki.

Przypomniał się jej bowiem wzrok ten, tak surowo dumnie na nią patrzący. Przykre wspomnienia tej chwili wypiętnowały się na jej twarzy. Stała jak pod pręgierzem, przeszyta wzrokiem męża; słowa jej konały na ustach— bo i cóż odpowiedzieć mu mogła?

Wiktor spiesznie wyszedł z pokoju. To są oczy Justyny mówił do siebie.

Tak patrzała na mnie gdym ostatni raz ją widział, tak—z tym wyrazem niemej boleści!

Ach te oczy ścigać mnie będą całe życie.—Może blask ich przyćmiły łzy wylane — może jeszcze teraz we łzach toną.

Odtąd znów lodowaty dźwięk jego głosu przeszywał serce Antoniny: odtąd nie zbliżał się przy niej do dziecka, a ona nie śmiała go już przywołać; lecz gdy sam został skradał się zwykle, brał je na ręce, wpatrywał się w oczy i tulił, całował je tak namiętnie iż wąta istota nie mogąc czasem znieść tych uścisków głośnym wybuchała płaczem.— Strwożona tem troskliwa babka napróżno, chroniąc ją od uroku, z modlitwą w ustach kurzyła je nieraz święconem ziółkiem; lub obnosząc trzykrotnie w koło rzucała sól na naniecony ogień;—czasem też widząc dziwne obejście Wiktora złożywszy ręce zanosila błagalną modlitwę o spokój i szczęście ulubionego dziecka.

I Antonina otarła nieraz cichaczem łzę piekącą, lub ukryła ją przed wzrokiem męża na piersi małej córki.

— A nieraz gdy była samą gorzkiemi oblała ją łzami.

W dwa lata potem. — „Dwa lata“ — jakże ten przeciąg czasu krótko określić się daje, lecz ileż zmian poczynić, ile ran zabliznić, ileż nowych pocisków wymierzyć może!

Długo jeszcze nasz galernik szalał z bólu, lub gwałtownie targał się w pętach, lecz zwolna przywykł do nich i po stać Justyny coraz się zacierała w myśli i sercu.

Parę nowych oczu ujrzało znów po raz pierwszy światło pod skromną jego strzechą; nowy członek przybył do rodziny, przypominając ojcu iż życie jego, nie do niego wyłącznie należy.

Przenieśmy się teraz do owego miejsca pobytu wesołej Kostusi.

Nie znajdziem jej tu wprawdzie i nikt z mieszkańców nie powie z pewnością gdzie się obraca.

Pan Szymon opuścił też samotne pokoje oficynki. Nowi jacyś przybysze zamieszkują pałac.

Drogi tak starannie niegdyś wygracowane porastają trawą. Na gazonie po klombach i kwiatach harcują konie. Z otwartych okien wyglądają rumiane złotowłose główki. Wyraźnie w tej chwili zajęte są one czemś ważniejszym niż myślą o figlu.

No Kaziu, odezwał się głos starszej dziewczynki, cóż ty zrobisz?

Co, odpowiedział chłopiec otwierając szeroko gębę i krzywiąc się okropnie, jak przyjedzie schowam się pod piec w kuchni. A ja pod łóżko odezwał się trzeci głosik.

To nic nie pomoże; czyż ciągle będziecie siedzieć pod piecem lub łóżkiem.

Na tę uwagę starszej siostry, która widać trafiła do ich przekonania westchnęły i grymas podobny do płaczu skrzywił pogodnie, figlarne ich twarzyczki.

Nowymi mieszkańcami owego pałacu są państwo K. którym go wypuściła w dzierżawę dawna pani Kostusi. Pobożni, zaciężni ludziska; o czem świadczy nawet ich fizjonomija. — Jakieś przygotowania, które wyraźnie nie w smak idą dzieciom postrzegać się tu dają. — Pani K. wydaje głośno rozkazy, krząta się sama, coraz coś ustawia, poprawia i z uśmiechem w którym się przebija cały ogrom serca matki, rzuca nieznaczące wejrzenia na zmieszaną dziatwę.

Za chwilę ma nadjechać nauczycielka łatwo więc każdy wyłómaczy sobie rozmowę i zmartwienie dzieci. — Państwo K. bardzo się jednak cieszą jej przybyciem. Ma to być światła osoba, przybywa z stron dalekich, i to już dobrze rekomenduje. Zaturkotała wreszcie bryczka pod gankiem i ku wielkiemu przerażeniu dzieci wysiadła nauczycielka. Ej czy tylko to prawda, że ona wozi osłe uszy, szepnął z cicha Kazio?

A jakże, papo nam przecież to mówił, podchwyciło drugie. Tymczasem wnoszono rzeczy.

Niechże się pani rozlakuje, rozpatrzy u siebie, przemówiła uprzejmie pani K. otwierając drzwi do przeznaczonego jej pokoju. Przybyła weszła za nią. Śmiertelna bladeść pokryła w tej chwili jej lica, zadrżała i jakby przykuta do miejsca nie ruszyła się dalej.

Szczęściem szara jesienna godzina nie dozwoliła dojrzeć nikomu jej wzruszenia. Pierwszy przedmiot który zwrócił uwagę nowo przybyłej był duży ciemno brązowy krzyż pod którym niegdyś Wiktor wieczną jej miłość zaprzyściągł. Teraźniejszy właściciel przeniósł go do pałacu i jakimś trafem umieścił w pokoju nauczycielki.

Obejrzała się, była samą. Boże! mówiła jeden rzut oka jedna chwila, jedno wspomnienie rozszarpało ranę, którą zgojoną być już mniemałam. Ach pocóż los zawistny i tęsknota znów mnie tu zagnały. Próżno się więc łudziłam, ciągnęła dalej, iż dwa lata walki, walki zaciętej, okropnej, która mięć omal nie wtrąciła do grobu, zgładziły to uczucie; próżno, jedno wspomnienie dowiodło: iż to nieprawda. Czemuż to uczucie zmusiło mięć wychylić czarę trucizny, która zabija mnie powoli. — Czemuż nie mogłam jak motyl odlecieć myślą i sercem, a byłabym szczęśliwą, otoczoną dostatkiem, pokojem. Dlaczegoż nie chciałam przyjąć bogactwa, nie chciałam zrozumieć miłości, dlaczego odepchnęłam to wszystko, skazując się na wieczną tułaczkę, wieczną pracę, wieczną tęsknotę. Boże, mówiła ze łzą drżącą w jej oku, wyrwij z mej piersi to uczucie chociażby z życiem razem — lecz czy on przynajmniej szczęśliwy?

— Mamże ja prawo myśleć o tem, rzekła do siebie po chwili, niegdyś ujrzene go było mi niebem, dziś w piekło

zmienić się może.—O bodajbym go była nigdy nie, ujrzała! Kaszel suchy wyrwał się z jej piersi.

— Co to jest, odezwał się głos wchodzącej pani K. pani tak kaszle.

— Kilkomilowa droga nabawiła mnie kataru z kaszlem, odezwała się przybyła, ale to wkrótce przejdzie.—Trochę się zmęczyłam.

— To nie będę przeszkadzać, niech pani odpoczywa i dziatwy nie puszczę, choć one niecierpliwie czekają, aby poznać się z panią. Kłopotu z niemi pani mieć nie będzie.

— O ja prędko z dziećmi się zaznajamiam, rzekła z uśmiechem.

Pani K. opuściła pokój zostawując ją samą pogrążoną we wspomnieniach przeszłości. Przybyła, była to Justyna Z. lecz musimy cofnąć się do tej chwili, gdy śmiech okropny, szydzący, szatański prawie wyrwał się z jej piersi. Długo śmiała się ona tak jeszcze, aż wreszcie łyzy ulżyły trochę. Gnana rozpaczą i żalem uciekła daleko z stron rodzinnych z zamiarem nie ujżenia ich więcej.

Zmiana miejsca i osób zagłuszyła na chwilę wspomnienie uspiła wściekłą boleść. — Czasem z gorączkową żywością rzucała się w wir zabaw, porywana, zapraszana od wszystkich których los dał jej spotkać w tej tułaczkiej pielgrzymce. czasem napadała na nią taka apatja życia, taka okropna tęsknota do miejsc rodzinnych że biedna istota wędła jak kwiat bez powietrza i wody, to znów rzucała się w wir jego.—W jednej z chwil takich los dał jej spotkać rodaka.



Trudno określić dlaczego tak prędko zaznajamiamy się w obcej stronie; może tęsknota za rodziną popycha nas wzajem ku sobie, może to uczucie zmusza wyciągnąć rękę by zawrzeć ją w przyjaznym uścisku.

W kilka chwil Justyna i Kazimierz K., byli już dobrze znajomi, wiedzieli że są oboje z Litwy, on z nad jej błota, ona z górzystej malowniczej jej części. Kazimierz K.: którego los zagnał tak daleko, był dostatnim urzędnikiem.

Pomimo młodego wieku szanowano go powszechnie, nie tylko dla godności jaką piastował, lecz i dla osobistych zalet.

Od chwili poznania się Kazimierz ani na chwilę nie spuścił z oka Justyny.

Nieraz zbliżał się do niej aby zawiązać rozmowę, która dlań miała zawsze nieopisany urok. Wzajem wzniosłe jego idee, zdrowy pogład na życie, rozum niepospolity zachwycaly nieraz Justynę. Uczucie życzliwej przyjaźni zagościło w jej sercu dla szlachetnego ziomka, i biedna istota zdala rodzinnej ziemi znalazła w niem spokój którego tak długo napróżno szukała. Lecz nietylko przyjaźń wywołała dla siebie w sercu Kazimierza, który pomimo dostatków czuł całą próżnię samotnego życia. Zapragnął on by Justyna podzieliła z nim los i dostatki, by jej oczy świeciły mu zawsze miłością i szczęściem.

Życzliwość Justyny była mu pewną rękojmią, lecz pomimo tego, cichym, drżącym głosem błagał: by mu była Aniołem opiekuńczym w życiu, a troskę o swój byt materialny jemu wyłącznie zostawić chciała; — pójdziemy przez życie razem jak dwa westchnienia jednej piersi: ja cię otoczę dostatkami pokojem, jedyna moja.

Jakiś dziki wyraz wypiętnował się w twarzy Justyny na pierwszy dźwięk drżącego głosu.

Cała jej miłość i rozpacz na nowo rozdmuchana, postawiła ją w jednej chwili na owem miejscu gdzie dziewczę z rozkoszą słuchało cichych, drżących tonów miłości. Błyskawicą przebiegła w myśli następne chwile i ciemno brązowy krzyż zarysował się w jej wyobraźni.

Przypomniał się jej głos Wiktora który tak niegdyś do niej przemawiał. — Spojrzała surowo na oniemiałą postać młodzieńca i zgłósnem łkaniem rzuciła się do drzwi.

Kazimierz chciał biedz za nią lecz jej spojrzenie przykuło go do miejsca.

We trzy dni potem opuściła te strony gdzie przyjaźń dla Kazimierza ukotłysała jej boleść, a jedno jego słowo miłości rozdmuchało z nową wściekłością żal zatem co już bezpowrotnie straciła.

Tak więc przybyła ona znowu z stron dalekich gdzie ją zagnała była rozpacz, a wracać zmusiła tęsknota do miejsc, do ziemi rodzinnej, do tych bolesnych wspomnień, pamiątek jej życia.

Lecz jakże niepodobną już była do tego dziewczęcia, którego dusza namiętna ciskała niegdyś spojrzenia jak z otworów wulkanu, w którym drżąca rozkoszą pierś tętniła długo echem słów miłości. — Wyraz męczeństwa rozlał się na jej twarzy; wzrok jeśli podniosła go z ziemi był tak szklistym, tak bez życia, jakby mu już ono obmierzło, jakby się już zużył długimi laty.

Wszystko w niej dawne wygasło, wróciła do swej rodziny zupełnie inną, jedno tylko uczucie zostało niewy-

gäste niezgłodzone i przeszedłszy przez ogień cierpienia, nie zmieniło swego kształtu i barwy.

Ze łzą powitała rodzinną ziemię.

Kilka miesięcy upłynęło od czasu pobytu Justyny u państwa K.

Znów młodociana wiosna zawsze świeża, zielona i piękna zagościła na ziemi.

Czy nie życzyłaby pani pojechać w niedzielę do Kościoła. rzekła raz do niej pani K. Parafijalny nasz kościółek taki śliczny, tak malowniczo położony, że doprawdy, często pojechać się do niego pragnie, jedynie aby popatrzeć na śliczny krajobraz; dla mojej dziatwy nie ma większej przyjemności, jak kiedy wezmę je z sobą.

— I owszem, dlaczegóżby nie, odrzekła Justyna.

Nadeszła niedziela i z wielką radością dzieci jechały z nią szczebiocząc całą drogę wesoło.

— Ach! panno Justyno, odezwał się głos przy niej, ma ma bardzo rozżalona na panią że dotąd odwiedzić nas nie chciałaś.

Był to głos Erci T. która już na pannę Elwirę urosła.

— Zajdźmy do plebanii rzekła po nabożeństwie, pewno tam mamę, a może kogo jeszcze ze znajomych spotkamy.

Plebanija będąca o parę kroków od kościoła była głównym punktem, gdzie się po nabożeństwie zbierano na chwilową gawędkę.

Zacny pleban, zostawując na ten cel parę pokoi zupełnie swobodnych i przystępnych dla całej parafii, nie mógł lepiej okazać swej życzliwości,

Pierwszy pokój zajmowało zwykle grono mężkie; drugi wyłącznie kobietom był zostawiony.

W tej chwili dość znaczne grono napełniało pierwszy pokój, a gęste kłęby dymu nie dozwalały rozeznąć ich twarzy.

— Kto to, zapytał z cicha, jeden z przytomnych w chwili gdy Justyna z Elwirą przeszły, udając się do drugiego pokoju.

— Zdaje się że to dzieci państwa K. zauważył inny.

Pewno to nauczycielka odezwał się trzeci, pan K. mówił że mają zdaje się jakąś cudzoziemkę. Wątpię żeby nią była przerwał mu pierwszy, ma imię Justyna, wszak to nie cudzoziemskie.

— Ale nazwisko — nazwisko odrzekł zagadniony, chociaż go sam nie wiedział, jest cudzoziemskie.

Na wymówione imię Justyny jeden z gości, który dotąd plecami do drzwi obrócony mało się interesował przybyciami powstał i niecierpliwie przechadzać się zaczął. Nagle zatrzymał się naprzeciw roztwartych drzwi, zawahał i przestąpił próg drugiego pokoju.

Wszystko to było dziełem jednej chwili.

Wiktor C. usłyszawszy znajome imię, nie mógł się oprzeć ciekawości, a może i innemu uczuciu, aby się nie przekonać czy w istocie cudzoziemką jest ta, która mu przypomniła inną, niegdyś znajomą i drogą mu kobietę.

Dźwięk znajomego głosu zatrzymał go naprzeciw otwartych drzwi, na tle których zarysowała się wyniosła postać Justyny. Ona w tej chwili zwróconą była do drzwi.

Spojrzała na niedyskretnego natręta i wzrok utkwiała w ziemi.

Wiktor nagle przestąpił próg, chwytając ją prawie za rękę.— Oczy mu się iskrzyły.

Z nieopisanym wyrazem utkwił wzrok w bladą twarz Justyny—usta mu drgały; wyraźnie chciał coś przemówić ale co?—któż to odgadnąć dotrafi.

Krew mu jednak widac zamarła w sercu, a słowa zamarły na ustach, bo po chwili takiego wysiłku uśmiechnął się tylko tak jakoś kurezowo, tak boleśnie, jakby to był uśmiech wywołany okropną torturą.

Justyna rzuciła nań znowu przelotne wejrzenie, ale tak obojętne jak gdyby na pierwszego lepszego przechodnia, i zwracając się szybko do dzieci, najspokojniej przemówiła: jedźmy, bo z obiadem czekać na nas będą.

— A toż panna Justyna przyrzekła trochę poczekać, zaprotestował Kazio, mieliśmy jeszcze zbierać trochę kwiatów.

— Dajże pokój kwiatom, jeść mi się chce okropnie.

— Obiad przenoszę nad wszelkie przyjemności w świecie, mówiła śmiejąc się do Elwiry, i nie zwracając najmniejszej uwagi na Wiktora nagliła dzieci do powrotu.

Wiktor przeszedł parę razy przez pokój, i nie wiedząc sam co czyni.

Śmiech i obojętne słowa Justyny wytrzeźwiły go trochę; wyszedł więc z pokoju nie kusząc się nawet na pożegnanie.

Kilka kobiet będących świadkami tej niemej sceny nie a nie pojąć nie mogły, co ich nie mało martwiło bo jakże to przyjemnie schwytać nie jakiejś ploteczki, i osnuć ją swym talentem krasomówstwa dla dobra ogółu.



Elwira tylko wiedziała, a może domyśliła się reszty, bo przy pożegnaniu rzekła: doskonale przyjęłaś go, podziwiać cię musiałam.

Justyna jednak nie uśmiechnęła się na tę pochwałę, wkrótce wróciła do domu i z wielkiem zadowoleniem pani K., iż nie trzeba było czekać na nią, siadła do stołu, jednak pomimo ulubionych potraw, pomimo pośpiechu na obiad, który pozornie przeniosła nad wszystko, cały dzień nic do ust nie wzięła.

Późna noc widziała jeszcze jej łzy, wylewane u stóp krzyża; a we śnie odtworzyła się pewno niema scena dnia tego, bo kurczowy bolesny śmiech wykrzywił czasem jej lica, to znów tłumione łkanie wyrwało się z piersi.

Jakie wrażenie zostawił dzień ten w duszy Wiktora — niewiadomo, to tylko pewną jest rzeczą iż bolała go obojętność przyjęcia Justyny. Nie mógł się nawet innego spodziewać, a jednak nie chciał wierzyć by go już zupełnie wygładziła z swej pamięci. Jak przez sen przemknęła mu się w wyobraźni Justyna z uśmiechem, z słowem namiętnem: „o ja cię kocham szalenie, pierwszą i ostatnią miłością“ — lecz w jednej chwili stanęła mu na myśli smutna terażniejszość i opuścił głowę na piersi. Usunął się od wybiegłej na powitanie go żony, nie uściśnął jak zwykle jasnowłosego niemowlęcia wyciągającego doń rączki, zepchnął je z kolan i fuknął na małą Wikcię, pnącą mu się gwałtem do szyi, aż biedaczka rzewnemi załała się łzami; nadąsawszy się dosyć na wszystkich, wyszedł z domu, lecz gdzie i dokąd — sam nie wiedział.

W kilka dni potem, a był to śliczny dzień wiosny, strojonej w niezliczone kwiaty, siedziała Justyna w swym pokoju, gdy naraz hałaśliwa dziatwa, mając na czele Kazia z bu-

kietem, wpadła do niej. Z pomieszanej ich mowy zaledwie zrozumiała, iż ten bukiet przysłała pani T., prawdziwie szczera jej przyjaciółka. Nie mam potrzeby opisywać z jaką przyjemnością przyglądała się mu, jaką wagę przywiązywała do tych kwiatów, jak wdzięczną była za ten miły dla niej upominek, który w rozegzaltowanym jej sercu nabral wielkiej wartości. Jeszcze swych oczu nacieszyć ich widokiem nie mogła, gdy zrównym jak poprzednio krzykiem wbiegły dzieci, oznajmując przybycie Wiktora C. i jego matki.

— Pan Wiktor C. — odezwał się Kazio — to ten pan co się w plebanii witał, ale on nigdy u nas nie bywa — dodał po chwili.

— Pewno więc przyjechał do papy, za interesem — odrzekła Justyna. Po co on przyjechał, pytała siebie, gdy dzieci opuściły jej pokój, ach gdybym przynajmniej uniknąć mogła jego spotkania, lecz jakże to uczynię by nie zwrócić niczyjej na siebie uwagi. Pora obiadowa, wyjść więc muszę, bo jakież pretekst zatrzymać mię może? Tak, wyjść muszę, a zatem i widzieć go! O chłodna ręko konie czności! Zadrzała całym ciałem, a błędny wzrok tocząc do koła siebie, utkwiła w krzyż wiszący i w tejże chwili znalazła się u stóp jego. Niedługo powstała, gwałtowne drzenie przebiegało jej członki. Dają do stołu, iść już muszę, szeptała prawie nieprzytomnie, zatrzymała się jeszcze, zawahała i weszła do drugiego pokoju. W tem odgłos niecierpliwych kroków, odbił się echem w jej sercu, zbladła; zatrzymała się na środku przyległego pokoju, przycisnęła rękę do serca i szepnęła: nie sposób iść tam, nie mogę, i szybko wróciła do siebie. Lecz cóż pomyśli pani C., zastanowiła się po chwili, może to wzięść za uchybienie, co ona pomyśli, co pomyślą oni — rzekła przywodząc na myśl państwa K.

Ja muszę tam iść, muszę go widzieć, muszę mu dać poznać, iż nie powinien zakłacać mi spokoju, nie powinien rozkrwawiać rany; wszak żalu do niego nie mam; cóż mu złego uczyniłam, iż pragnie uragać się boleści mojej. Rozwierające się drzwi, przerwały smutek jej myśli.

— Panno Justyno — wołały chórem uśmiechnięte twarzyczki — mama prosi — zaraz obiad podadzą.

— Dobrze odrzekła; w tej chwili myśl jakaś przemknęła się po jej czole. Dzieci — rzekła spokojnie — muszę tylko wstawić mój bukiet do wody, przyniesiecie mi ją i pójdziemy razem.

Dzieci wybiegły szybko wykonać jej życzenie.

Justyna znów schyliła kornie swe czoło u stóp krzyża, i znowu popłynęła z jej serca rozpacзлиwa modlitwa, lecz tą razą powstała już spokojna, nieruchoma, martwa prawie.

— Poczekajcie — rzekła do dzieci, które nadbiegły — pójdziemy razem.

Wesołe jasnowłose grono wyprzedziło jej chód powolny i echem przyspieszonych swych kroków, zagłuszyło echo tych, które ją tak przerażały. Z hałasem otworzyły się drzwi salonu i poprzedzona dziatwą, ukazała się Justyna. Odgłos niecierpliwych kroków ustał w tej chwili. Wiktor stanął jak wryty i nim mógł przyjść do siebie, Justyna przywitawszy go, jak można najceremonialszym a razem i pełnym godności ukłonem, pospieszyła szybko ku pani Tomaszowej C., witając ją po dawnemu serdecznie.

— Ach, panno Justyno, ach zbiegu, gdzie byłaś, gdzie ukrywałaś się do tej pory, — wołała staruszka ściskając ją. Napróżno chciałam dowiedzieć się czego o tobie, niedobraś, że tak łatwo zapominasz o dawnych znajomych, wszak niegdyś dom nasz uważałaś za przyjazny, a dziś i to jeszcze, gdy przyjechałam sama i od godziny

siedzę, pałając chęcią uściskania cię jak najprędzej, kazałaś tak długo czekać — rzekła tonem wymówki.

— Zawiniłam, i proszę o przebaczenie, droga pani — wymówiła Justyna spokojnie.

— Dobrze przynajmniej, że uznajesz się być winną, to znak poprawy — rzekła pani C. dobrodusznie, — wybaczam ci ten raz, ale za pokutę opowiedzieć mi musisz, gdzie byłaś i jak ci czas upłynął.

— W krótkich słowach mogę wywiązać się z tego — rzekła Justyna — bawiłam się wesoło, rozglądałam po ludziach i świecie bożym, czas mi upłynął jak najprzyjemniej. Wszędzie pocziwe szlachetne serca siał Bóg po mojej drodze, wszędzie przyjazną spotykałam rękę. Te dwa lata mogę policzyć za najszcześniejsze w mem życiu. mówiła to jednak tak poważnym głosem, wspomnienie chwil minionych nie wywołało uśmiechu, ani żadnego wzruszenia, i tylko dobroduszość pani C. mogła uwierzyć jej słowom.

Obiad przerwał dalsze opowiadanie Justyny, a rozmowa gości przy stole siedzących, chociaż wesoła, męczyła ją niezmiernie. Wiktor siedział naprzeciwko niej, i chociaż rozmawiał z panem K., przysłuchiwał się jej uważnie; nie zamienili jednak z sobą ani jednego słowa, ani jednego wejrzenia, wyraźnie unikali tego.

— No wiele pięknych, ciekawych rzeczy widziałas — rzekła pani C. — opowiadaj, musiaś wiele widzieć.

Aby zaspokoić jej ciekawość, Justyna pokrótce przebiegła szczegóły widziane, z kolei opisywała wspaniałe gmachy i zwyczaje ich mieszkańców, zbytki możnych, i obok tego nędzę ubóstwa; od ogromnych palm przenie-



sionych pod zimną strefę, którym stworzono możliwość istnienia, zapomocą sztucznego ciepła i dachu szklanego nad ich czołem, aż do jakichś rzadkich gatunków pokrzywy, umieszczonych również w rzędzie egzotycznych kwiatów. Poczciwa pani C. otworzyła usta lekając się by słowa niestracić z jej rozmowy; była tem tak zachwyconą, jak dziecię bajką, z tysiąca jednej nocy.

— Aj! aj! aj! — wołała prawie odurzona — dzień z nocą człek by słuchał. Szczęśliwi wymłodzi — wszystko przed wami; — wy możecie latać jak ptaszki, cieszyć się pięknem przyrody, podziwiać potęgę Boga i potęgę rozumu. Pokiwała głową.

— No możeś ciekawa — rzekła staruszka — jakieśmy przepędzali czas, gdy o nas zupełnie nie pamiętałaś. Ja na przykład, schorzała siedziałam za piecem i niańczyłam wnuiki. Bóg mi dał dobrą synowę. potulna, serdeczna, a Wikcia to nieodstępna ma towarzyska, my z nią najlepiej się rozumiemy; przywiązana też do mnie niezmiernie. Już to dla niej nie ma większej groźby, jak gdy Wiktorek powie: Jeżeli Wikcia będzie niegrzeczną, wydam babunię zamąż. Wczoraj posłani na łąkę narwać jej kwiatków, i na biedę Wiktorek wyrwał się z konceptem: babunia za mąż poszła, to aż do mego przyjścia nikt ją w płaczu utulić nie mógł.

Justyna słuchała, zdawało się swobodnie, a jednak nie słyszała nic prawie, w uszach jej dzwoniło na pierwszą wzmiankę Antoniny.

Wiktor rzucał na nią badawcze wejrzenia.

— O jakże ona kwiaty lubi — mówiła znów staruszka, dziś nie chciała mię puścić aż przyrzekłam, że piękny bukiet przywiozę.



— Żeby nie zapomnieć, przygotuję go pani—rzekła Justyna z uśmiechem, w którym odzyskała dawną swobodę i szczęśliwa pretekstem uwolnienia się na chwilę, wyszła natychmiast.

Nie miała jednak siły zbierać kwiatów, i dzieci wyręczyć ją w tem musiały.

Co się działo w jej sercu nikt opisać nie potrafił. Niebawem wróciła jednak i z nprzejmym uśmiechem podała bukiet.

— Dziękuję, dziękuję ślicznie, rzekła pani C. Przejdźmy się teraz, muszę obejrzeć dom cały, Kostusia zachwalała go nieraz. Chodź Wiktoru z nami, rzekła do syna. Następnie zastanawiała się w każdym pokoju, robiąc różne uwagi i wyzywając do nich mileżącego Wiktora. Skierowała się wreszcie ku drzwiom do pokoju Justyny wiodącym.

Wiktor szedł za niemi.

Czy to twój pokój zapytała Justyny roztwierając drzwi szeroko. Wiktor stojąc w tej chwili na progu usłyszał potwierdzającą odpowiedź. Rzucił ciekawe wejrzenie dokoła, zbladł i cofnął się do salonu. Krzyż zwrócił jego uwagę, poznał go i zadrzał.

Dziwna rzecz jak czasem ślepy traf spiskuje z losem, by dręczyć ofiarę swoją, pomyślał; ileż ona cierpieć musi. A może zapomniała mnie już zupełnie, może nawet widok krzyża nie przypomniał jej tej chwili, gdy drzące usta przycisnęła mi po raz pierwszy do czoła.

Jakiemże uczuciem rozkoszy przejął mnie był ów uścisk a teraz—przeszłość się zatarła, wszystko jak sen minęło—tylko widok tego niemego świadka sprawił mi ból niestychany! A ona, pomyślał znowu, któż ją odgadnie pod tą maską, zapomniała mnie pewno.

Zostawmy go z myślami a udajmy się do pokoju Justyny, gdzieśmy zostawili panią C. To twój pokój powtórzyła raz jeszcze, ładny ale po tych gmachach, pewno wydaje ci się nieosobliwie. I krzyż, dodała postrzegając go dopiero, taki duży, jakby do smętarza na grób.

— Są groby które nie zawsze smętarz zawiera, rzekła Justyna do siebie, zapomniawszy o jej obecności.

— Zapewne chcesz mówić o grobach samobójcy, którego zwłoki na ziemi poświęconej spocząć nie mogą rzekła pani C. nie rozumiejąc znaczenia jej wyrazów, i nad nimi stawiają krzyże, ale jednak zawsze taki duży to tylko na grób.

Tu dopiero spostrzegła się Justyna co się jej niebacznej z ust wymknęło i przerażona postanowiła więcej czuwać nad sobą.

— Dajmy pokój tak smutnej treści rzekła pani C. widząc jej zadumanie.

Ach, jaki ładny bukiet, zawołała idąc ku oknu. Co za radość byłaby dla Antosi...

Mnóstwo kwiatów u was, oddaj mi go, a sobie nowy zbierasz. Justynie ciemno się zrobiło przed oczami, nie wiedziała nawet dla czego tak jej żal było tych kwiatów. Pozwoli pani to ja świeżych przyniosę, te już w wodzie od rana.

— Dajże pokój, nie fatyguj się powiem ci otwarcie: chcę korzystać z twego towarzystwa.

— To może i pani obejrzy ogródek, w istocie dużo w nim kwiatów.

— Zmęczyłam się już moje dziecię, wrócę do salonu.

Justyna wyjęła kwiaty, łąza się jej zakręciła, ale wstrzymała ją w porę i z uśmiechem podała bukiet.

— Patrz Wiktorku jaki słiczny, rzekła Pani C. wchodząc do salonu, to dla Antosi, wzięłam go z pokoju panny Justyny.

Wiktor drgnął. — Trzeba go tylko związać by się nie rozstrząsał mówiła dalej pani C.

Justyna spiesznie uskuteczniła jej żądanie.

— O moja droga, nieoceniona, nie uwierzysz co tam będzie radości — ale, i druga będzie wyciągać rączki do kwiatów, gdy u Wikci zobaczy. — Gdybyś była tak dobrą ..

Mamo, zawołał z oburzeniem Wiktor, jak można tak się naprzykrzać, tak dokuczać.

Dajże pokój Wiktorku, panna Justyna taka dobra, ufam że to jej przykrości nie sprawi.

Cóż to tak wielkiego, rzekła Justyna, Kaziu dodała, przynieś ładny bukiet.

Wiktor śledził ją chciwie, podczas gdy ona z jak największą swobodą związawszy przyniesiony bukiet, położyła go obok pierwszych. Gdyby zupełnie o mnie zapomniała, gdyby w jej sercu dawne uczucie wygasło, nie potrafiłaby jednak z większą swobodą to czynić, mówił do siebie i zamyslił się.

Może jego wyobraźnia przedstawiła mu w tej chwili kochające go dziewczę, może w swem sercu usłyszał, owe tchnące smutnem przecuciem wyrazy: nie wiem, ale mi się zdaje, iż nie raz przyjdzie w duszy ukryć krwawą ranę, iż przyjdzie w gruzy zagrzebać nadzieję, i bez słowa żalu lub skargi, ze śmiechem na ustach stąpać po jej zgliszczach. — Może w istocie przyszło mu to na myśl, bo westchnął, usta mu zadrgały jakby szeptał: byłeś złym prorokiem swej doli.

Nareszcie pani C. stęskniona do wnucząt żegnała Justynę i uprzejmych gospodarzy.

Wiktor też podszedł uścisnąć jej rękę. — Dłoń mu drżała gwałtownie.

Justyna nie była przygotowaną do tego, jednak nie zdrżała, tylko śmiertelny chłód przesywając ją, całą zlodowacił. Nie podniosła oczu, nie straciła pogodnej twarzy, bezwładna ręka tylko zmieniła się w kawał lodu. — On spojrzał na nią wzrokiem niemej rozpacz—nie widziała tego. — W parę dni silna choroba przykuła ją do łóżka, i tylko troskliwość pani K. uratowała jej życie.

— Nie przynos mi Kaziu kwiatów rzekła raz w chwili, gdy ten z bukietem ukazał się w pokoju. — Szkoda dla tak błahej przyjemności pozbawiać ich życia; — prócz tego, nie lubię kwiatów. Kazio spojrzał zdziwiony. Toż panna Justyna tak je lubiła.

— Siedm lat upłynęło rzekła doń żartobliwie, a zatem i gust się zmienił.

Jak się masz Justyno, zawołał ktoś nagle, w chwili gdy się tego najmniej spodziewała, i jednocześnie czyjeś ręce zakryły jej oczy. Justyna odtrąciła je pośpiesznie.

— Kostusia, krzyknęła na osobę stojącą przy niej, a ty tu zkąd?

— Patrzcie jak ona mię wita. — Chciałaś powiedzieć; a po co, nieprawdaż?

— Gdybym chciała, powiedziałabym, odrzekła śmiejąc się. — Siadajże, i doprawdy powiedz zkąd się tu wzięłaś. Jak duch jaki zjawiasz się tam, gdzie ci się najmniej spodziewają.

— Ale najwięcej życzą, podchwyciła Kostusia ze śmiechem.

— Chcesz komplementu, lecz ci go nie powiem. Coż teraz porabiasz?

— Co, rzekła wesoło, gospodarzę, nianczę dzieci, ot mają robotę.

— Winszuję, więc jesteś nianką?



— Z większym bądź dla mnie szacunkiem, bardzo proszę, rzekła śmiejąc się. Jestem niańką to prawda, ale własnych dzieci, mam dwoje aniołków, miłutki domek i dobrego męża.

— Patrzenie, toż kosmatą ręką witać cię powinnam, czemuś mię o tem nie uprzedziła; ale to być nie może, dodała, jakże się zgodziłaś włożyć pęta żony i matki. Miłość prawdziwa nie skłoniła cię pewno do tego. W jaki sposób wyrzekłaś się chętki zawracania głów chłopcom; i czy mąż i piskliwe dzieci nie przejmują cię wstrętem?

— Tyle pytań na raz, nie wiem czy odpowiem ci na wszystkie. Pewno że piskliwe przejęłyby mię wstrętem, ale moje są tak dobre, miłe i rozumne, że doprawdy jak żyję podobnych nie widziałam; mąż kocha mię szczerze i nie gniewa się, gdy na mnie napadnie chętka płatania figłów, a choćby i podburzenia kogo; a ponieważ odgadłaś, iż głupia miłość nie spowodowała mnie do oddania ręki, to ci powiem otwarcie, że tytuł starej panny, nie mile brzmiący w mych uszach, skłonił mnie do tego. — I nie żałuję, że nie kochając wyszłam za mąż.—W sercu moim zrodziło się teraz nieznane uczucie, ale daleko głębsze niż wszystkie dawne miłości; dziś czuję iż bez niego żyć bym nie potrafiła.

— Więc się zakochałaś w mężu na serjo, winszuję ci tego, i z całego serca witam kosmatą dłonią, rzekła Justyna, śmiejąc się serdecznie.

— Nazywaj to sobie jak chcesz, może się i zakochałam, ale życzę ci z serca, abys zarówno mogła mi zrobić podobne wyznanie, abym cię również kosmatą dłonią powitać mogła, bo tylko szczerą prawdziwą miłość daje szczęście na ziemi.



— Chmura zasepiła czoło Justyny. Doprawdy Konstancjo, nie poznaję cię: spoważniałaś, zmieniłaś zdanie. I ja podobnież niegdys mniemałam; — lecz, nie prawdziwa miłość, tylko ślepy traf — może przeznaczenie — któż odgadnie tajne wyroki nieba, stanowią o szczęściu na ziemi. Wszakże prawdziwie szczerze kochałam, a czyż miłość uszczęśliwiła mnie?

— Konstancja spojrzała na nią uważnie, i przeraziła się, dostrzegłszy, jak okropnie zmienioną była; chmura nadawała jej twarzy ponury wyraz, podnosząc bladłość policzków. Nie bluźń Justyno miłości; nie uszczęśliwiła cię to prawda, ale to nie była miłość; było to raczej silne, ogniste uczucie, i wypaliło się, wyniszczyło płomieniem własnym; gdy cicha, nienamiętna zagości w twej piersi, gdy uścisk męża wywoła pogodny uśmiech, gdy dziecię wyciągnie rączki by się przytulić do twej piersi, te to uczucie, które wówczas napełniać cię będzie, można nazwać prawdziwą miłością.

— Poetka, zawołała śmiejąc się szydersko Justyna, kto cię tego nauczył. Zgadzam się, że to uczucie jest miłością, lecz nie mówmy o tem; ten przedmiot nie miłym jest dla mnie, zrobiłam z nim rozbrat na zawsze.

— Nie mów tak, zawołała przerażona Kostusia, niech cię Bóg strzeże, byś tego w złą godzinę nie wyrzekła. Jak możesz robić rozbrat z tem co ci nie znane. Biada kobiecie która chybiła przeznaczonego jej celu, która strwoniła bogate zapasy uczuć wlanych w jej pierś przez Boga, która nie czuła się przez nie szczęśliwą i nie uszczęśliwiła wzajemnie: surowy rachunek zmarnowanych darów zdać jej kiedyś przyjdzie.

— Kaznodzieja, zawołała z kolei Justyna i chciała się rozśmiać, lecz tylko wyraz boleści skrzywił jej usta.

— Nie sil się na śmiech, rzekła poważnie Kostusia, bo on ci ból sprawia, a tem mnie nie oszukasz; Zostawmy ten przedmiot i powiedz mi tylko, czy kochasz jeszcze Wiktora?

Justyna szybko przysła do siebie, chciała się oburzyć na tak niedyskretną chęć wdarcia się w jej tajniki, lecz zachowała spokojność.

— Wieszcu, rzekła, śmiejąc się znowu, wiesz iż śmiech mi ból sprawia, to wiesz też zapewne iż oddawna go zapomniałam.

— Nienawidzić go musisz?

— Nie zgadłaś; jest mi zupełnie obojętnym.

— Tem lepiej rzekła, tem lepiej dla was obojga. Ja zawsze wiedziałam iż ta miłość szczęścia nie przyniesie. I Wiktor kochał cię niegdyś namiętnie, a jednak miłość Antosi przeniósł nad twoją, i dziś szczęśliwym jest zupełnie; dziś gospodarstwo, żona i dzieci oto grunt jego szczęścia, bo on to ukochał nie namiętną, lecz cichą miłością. Strzeż się byś mu spokoju nie zakłuciła; surowa odpowiedzialność przed Bogiem czekać cię będzie. A i ty możesz także pokochać uszczęśliwić i być szczęśliwa.

— Nie pojmuję cię odrzekła z wyrzutem, grozisz i obiecujesz, lecz ani groźb ani obietnic pojąć nie mogę.

— Droga Justyno, bądźmy szczeremi. Niegdyś zraziłam cię, radząc byś wytrąciła z serca tę miłość, bo inaczej szczęśliwą nie będziesz; dziś sama przyznałaś słusność słów moich; gdybyś mię wówczas usłuchała, nie jedną bolesną oszczędziłabyś sobie chwilę; nie przyszłam jednak by ci to przypomnieć, lecz aby ofarować szczęście, zupełnie takie jakie ci skreśliłam, jakiego sama używam. Pamiętaj iż przeznaczeniem kobiety jest: uszczęśliwiać i być tem szczęśliwą.

— Doprawdy, nie rozumiem cię, słyszę, że mi przypominasz przeznaczenie kobiety; prawda, że po większej części takim ono być powinno, lecz ileż skazanych jest na to, by, ani posiadać szczęścia, ani uszczęśliwić sobą nie mogły; do rzędu tych ostatnich ja należę.

— Ta tylko, która się dobrowolnie zrzeka swej misyi, która podda się zwątpieniu lub lekkomyślności jest wykreśloną z koła przeznaczeń kobiety. Dziś, gdy już przebolełaś dawne uczucie, w twem sercu jest próżnia, ukochaj znowu cichą spokojną miłością, a jej promienie rozjaśnią twą przyszłość.

— Doprawdy, same zagadki; przyrzekłaś być szczerą, mów lepiej od razu, bo widzę że masz cel jakiś którego pojąć nie mogę.

— Zgadłaś, droga Justyno, otoż powiem ci otwarcie. Jeden z mych znajomych, dostatni, porządny człowiek pokochał cię szczerze, a dowiedziawszy się że jesteś mą znajomą prosił: bym w imieniu jego spytał, czy zechcesz oddać mu twą rękę?

— Dziwny jakiś człowiek ten twój znajomy — rzekła Justyna ze śmiechem, i któż to taki co podobną propozycję robić mi może, — śmieszne pytanie — czy oddam rękę temu, którego nigdy nie widziałam; — chyba to twoje żarty.

— Nie, Justyno, niezręczną tylko jestem w roli posta, czy swata, zapomniałam powiedzieć, że znasz go również dobrze. Jestto pan Leon. G.

— Pan Leon?— a co, czy nie zgadłam, iż wszystkie twe morały i cała powaga zmierzały do figla; chciałaś mię podejść nieznacznie, nieudało się — wstyd, wstyd, wstyd — wołała, śmiejąc się wesoło. Czyś zapomniała jak przed

kilku laty dokazywałaś na jego weselu, pani R. lękała się o twoje zdrowie.

— Nie Justyno, nie zapomniałam — odrzekła poważnie, Pan Leon G. owdowiał.

— A dziatwa, biedna dziatwa, biedne sieroty — zawołała z współczuciem Justyna.

— Widzisz, jak szczytne twoje przeznaczenie, jaką masz drogę przed sobą; od ciebie zależy wybrać lub odrzucić; wybierzesz, otoczysz miłością sieroty, zastąpisz im matkę, a miłość miłością zapłacą, bo dobra to dziatwa; odrzucisz, próżnia za tobą, próżnia w przyszłości, a kto wie — czy tem nie zakłucisz nawet spokoju Wiktora. Tyś go zapomniała, tobie nie grozi; lecz on, kto wie, czy nie wróci się mu to dawne uczucie, czy nie będzie sądził, że odmowa ta powstała jedynie z jego powodu; bo w ich domu Leon prosił mię o to.

Justyna zbladła, szepcząc:

Co za okropna dola, nie dosyć cierpieć bez skargi, bez żalu, bez słowa pociechy; nie dosyć silić się na uśmiech pogody, — trzeba się jeszcze zaprzadź w nowe jarzmo, włożyć ciężkie kajdany, i silić się znów na śmiech, na szczęście, rozlewać je w koło siebie, uszczęśliwiać otaczające istoty, choć duszę rozpacz ściśnie.

— Co zaś do Leona — ciągnęła dalej Konstancya, nie mam potrzeby mówić o nim, znasz go również dobrze, słyszałaś nieraz jego pochwały, wiesz jak dobrym był mężem. Nie jest już zapalonym młodzikiem, w sercu mu nie płonie dzika namiętność, lecz czysta szlachetna miłość ku tobie. Wierz mi, taki człowiek powinien być prawdziwym skarbem dla ciebie; szaleństwem byłoby go odrzucić. Od ciebie zależy będzie utrzymać tę miłość i szacunek,



jaki posiadasz w tej chwili. Decyduj, bo niecierpliwie czeka twojej odpowiedzi.

— Tak prędko — zawołała z przerażeniem Justyna, mogeż stanować o losie całego życia bez żadnej rozwagi.

— Rozwagi powiadasz — gdy mój mąż prosił mnie o rękę, podałam mu obie bez namysłu. Chwila dobrego natchnienia jest lepszą, niż długie lata rozwagi.

— Wiktorze! Wiktorze! więc dla twego szczęścia potrzeba bym jeszcze włożyła więzy, bym została niewolnicą obojętnego mi człowieka. Dla twego szczęścia potrzeba — więc przyjmę — szeptała wsparłszy głowę, może to mnie uleczy, a może — prędzej zabije, i uśmiechnęła się jak szaleniec na widok narzędzia, którem ma sobie odjąć życie.

— I cóż — zawołała w tej chwili wchodząca Konstancja, jaką mu mam dać odpowiedź.

— Pójdę — szeptała cicho.

— A co, czy nie mówiłam, że chwila natchnienia lepsza od lat rozwagi. Gdybyś nie wiem jak się zastanawiała, rozumniejszego postanowienia, zrobić byś nie mogła. Żegnaj cię, mam nadzieję, iż w krótkce kosmatą powitam dłonią. A jakże się ucieszy pocziwy Leon — dodała, że będzie cię mógł dać za matkę swym sierotom; z żadną inną, powiadał mi, nigdyby się nie ożenił.

W parę tygodni potem, w parafialnym kościełku, odbył się ślub Leona z Justyną.

W liczbie asystujących, z rozpromienioną od radości twarzą, widziano Konstancję. W tej że chwili, za filarem, stał jakiś mężczyzna, pilnie wpatrując się w nowożeńców; na twarzy malowało mu się rozdrażnienie, pięści zaciskał co chwila, potem wybiegł pośpiesznie. Zapomniała! zapomniła! — wołał rozdrażniony, pokochała Leona, a mo-



że — tylko jego dostatki. I gorzki uśmiech pogardy, przemknął się mu po twarzy.

Znajomi zbliżyli się, składając życzenia długich lat szczęścia, za co im młoda para dziękowała z uśmiechem. W domu Leona brzmiała radość, nie było jej w sercu Justyny, chociaż udawała ją wybornie. Sieroty z drzeniem patrzyły i nieśmiało zbliżały się ku tej, która odtańd matką im być miała. Bajki o okrutnej macosze, silnie przyczyniły się ku temu.

— Czy zagości kiedy w jej sercu, przez Kostusię skreślone uczucie, czy znajdzie tu szczęście, pytać się i spodziewać nawet nie śmiała. Jej przeznaczeniem, „pasma poświęceń“, ona o szczęściu drugich myśleć powinna, o sobie zapomnieć zupełnie. Wszak dobrowolnie tę drogę obrała.

Nie wielki dworek postrzegać się daje z zieleni otaczających go dokoła drzew; dopiero zbliżywszy się doń, nabiera większych rozmiarów; coraz nowa budowla wychyla się z zadrzewa; tuż rzeczka wiję wężykiem, po niej stado gęsi i kaczek pluska się w przezroczystej wodzie, trzymając się w pewnej odległości; obok gaj z odwiecznymi groby. Na nich i śladu krzyża nie dojrzysz, spiczaste tylko kamienie je przywalają, dowodząc: iż nie chrześcijańskie spoczywają tu zwłoki. Do gaju przypiera ogród niewielki, lecz starannie opatrzony, bogaty w rodzajne drzewa. Domek czysty, porządny, z oknami wychodzącymi z jednej strony do sadu, z drugiej na dziedziniec otoczony wiankiem budynków. Ganek o dwóch filarach z ławkami; tuż obok odwieczne topole stojące na straży, i krzak bzu wychyla swą gałąź obciążoną kwiatem. Po środku dziedzińca ogromna lipa, obok niej żuraw wyciąga długą swą

szyję. Jakaś uroczysta smętność panuje do koła; a jednak całości nie brak uroczej acz poważnej harmonii.

Posiadłość ta należy do Leona G. Cisza zalega dziedziniec, rzadko się kto po nim przemknie, rzekłbyś, że wszyscy wymarli. Gałęzie bzu z osypującym już kwiatem, schylają się do otwartego okna. W tej chwili, przez dziedziniec przeszło dwóch ludzi udając się do stajni.

— Skaranie Boże — mówił z nich jeden, toż to kiedy Pan Bóg chce kogo doświadczyć; biedny nasz pan, a dobry człowiek, szkoda go. Toż to przeszłej wiosny, rychtyk w tej porze, jak tu gwarno wesoło było, gdy uszczęśliwiony przywiózł swą żonę. Prawda, że i wtedy biała ona była jak kwiat kaliny, ale śmiała się i rozmawiała wesoło — a dziś powiadają umiera. Trzy lata jak swą pierwszą pochował; tamtej nie znałem, lecz ta, ludzkie kobiecisko, szkoda jej. Oj nie darmo, te pogańskie grobiska tu stoją, wszystko jest a szczęścia braknie — rzekł skrobiąc się w głowę. Jak to on żałuje — mówił dalej — na ręku by rad ją nosić, ptasiego chyba mleka jej braknie.

Znowu dwie dziewczynki przemknęły się, cichutko weszły do pokoju, i spokojnie zaczęły porządkować rozrzucone lalki. W przyległym do niego maleńkim lecz eleganckim pokoiku, którego świeżość obicia rywalizowała z kwiatem bzu wdzierającym się przez otwarte okno, leżała, a raczej siedziała wsparta o poduszki młoda kobieta. Piękną nazwać by ją można, lecz pięknością nie ziemską, nie tego świata; kropli krwi w niej nie dojrzysz, biała jak pokrycie poduszek o które opiera swą głowę. Naprzeciw niej siedzi mężczyzna, z wyrazem niepokoju i trwogi wpatrując się w jej lica.

— Leonie — przemówiła po chwili milczenia — jakże niewdzięczną ci jestem.

— Możesz że tak mówić, chyba ja niewdzięczny, iż nie mogę otoczyć cię troskliwością na jaką zasługujesz. Zastąpiłaś matkę sierotom, zwalczyłaś ich wstręt ku sobie, otoczyłaś opieką na jaką tylko serce kochającej matki zdobyć się może.

— Nie chwal mię napróżno; czyż nie jest to mym obowiązkiem, za szczęście wasze nie odpowiem—że kiedyś przed Bogiem, i zasępiła się okropnie, zadrżała, jakby już stanąć miała w tej chwili na zdanie tego rachunku. O jakże winną się czuję — rzekła do siebie — że zatrulałam szczęście tak szlachetnego człowieka — mógłby być otoczony szczęściem; podczas gdy przykuty do mnie, musi dogadzać tylko chorobliwym mym kaprysom.

— Justyno, po co tak mówisz, to czem mię darzysz, wystarcza zupełnie do mego szczęścia, przyjaźń twoja, troskliwość o me dzieci, więcej nie pragnąć nie śmiem;—wyzdrowiej tylko prędzej, a wówczas szczęśliwszego nade mnie nie będzie w świecie.

— Tylko tak mówisz, twoja szlachetność ci to dyktuje, ale ja czuję, iż cierpisz, iż żal ci nieraz, żeś związał swe losy z mojemi.

— Justyno, tyś droga mi zawsze, czemuż w twem sercu niema miejsca dla mnie, bo inaczej nie obwinałabyś mię niesłusznie.

— Obwinać — mogęż cię obwinać — siebie tylko. — Bieda mi, ja chybiłam przeznaczenia kobiety, ja nie uszczęśliwiłam i nie byłam szczęśliwą — jakież ciężki rachunek zdać mi przyjdzie, że tak lekkomyślnie poświęciłam szczęście szlachetnego człowieka; ale nie długo więzić cię będę — moje miejsce powinno już było być oddawna w grobie.

Leon nic nie odpowiedział, wpatrywał się tylko w lica żony, podczas gdy ta znużona wysiłkiem, bezwładnie padła na poduszkę.

— Leonie — rzekła po chwili — gdy umrę, pojedź do państwa K., odkup krzyż z mego niegdyś pokoju i osadź go na mym grobie; tyle on widział mych łez i rozpaczy; tyle łez niedoli.

— Na co tak mówisz — wszak od dni kilku, masz się się lepiej bez porównania, ty żyć będziesz, nie myśl o śmierci.

— Żyć będę — o gdybyż tak było! Przyspieszonym tętnem serce moje wybiło cały zakres uderzeń, przeznaczonych na długie lata, a zatem — i zatrzymać się wcześniej musi. O nie! ja będę żyć — zawołała nagle zdziwną żywością; czuję, iż jakaś zmiana jest we mnie. O gdybym tylko prędzej wyzdrowieć mogła, wynagrodzę ci ten rok cierpienia, otoczę cię szczęściem, miłością. Konstancyo! wytrąciłam już z serca zabójcze uczucie! Wiktorze! nie mam żalu za doznane cierpienia, za rozniecone w mem sercu uczucie, które dało mi poznać całe piekło męczarni.

I upadła znów na poduszki.

— Wody! wody! — zawołał przerażony Leon i zaczął cucić omdlałą. Umarła — wyrzekł po chwili. Dzieci, wołał — pożegnajcie się z mamą, nie zobaczycie już jej więcej — rzekł do wchodzących dziewczynek.

Biedne sieroty rzuciły się, łkając, ku tej która prawdziwie matką im była.

Nowa mogiła wzniosła się wkrótce obok pierwszej żony Leona.



W kilka dni po śmierci Justyny przybył on do państwa K., aby wypełnić ostatnią jej prośbę. Tak więc skończyło to dziewczę, którego namiętna dusza przez lat tyle, jak skąpiec skarby, kryła zjadliwą truciznę.

A Wiktor, zapyta niejen, rozpacza pewno? Lecz miałże czas do tego? — ułewa zniszczyła mu najlepsze plony, powódź pokryła szlamem nieskoszoną łąkę; mógłże więc myśleć o Justynie w obec tylu strat tak dotkliwych? wstchnął prawda na wieść o śmierci, zmówił może pacierz, bo był pobożnym, i ruszył do bogatego teścia po zapomogę. Kostusia śmieje się jak zawsze, krząta ochoczo koło domu, i unosi się nad rozumem swych dzieci.

Jakąż pustkę przedstawia nam posiadłość państwa B. Głucho, i cicho tu wszędzie; chyba stuk siekiery przerwie monotonną tę ciszę. Sadzawka, porośła zielonym szlamem prawda, iż niema już komu, przeglądać się w zwierciadle jej toni; pnie tylko sterczą na miejscu dawnych dębów, a szereg beczek świadczy, iż tu nowym panem jest przemysłowiec.

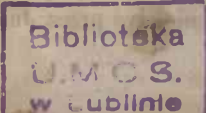
Pani Adela gdzieś za granicą, odbywa podróż jako uczona turystka dla zbadania, jak głośi, tych rzeczy w przyrodzie, których jeszcze nikt dotąd zbadać nie zdołał. Czy się to jej uda — w tem sęk nie mały.

Państwo R. klepią biedę jakkolwiek; czy przyjdą do dawnego bytu, Bóg to raczy wiedzieć! Pan Władysław H. niedługo czekał, oświadczone mu się i ożenił się; lecz w krótcie przeziębwszy się przy zajęciach gospodarskich, przeszedł do lepszego świata. Żona prędko się po jego stracie pocieszyła, znalazłszy nowego fenomenalnego małżonka. Dla czego państwo K. nie spełnili prośby Leona — niewiadomo. Krzyż stoi do dziś dnia w pokoju zajmowanym niegdyś przez Justynę.



Mogła jej tylko trawą porośła. Pewnego dnia spostrzegłam na jej grobie bukiet skabiozów. — Kwiaty te są godłem ciężkiego smutku; — któżby je tam mógł porzucić?....

KONIEC.





nyāta  
serais  
tortornice  
lonēhi  
Janclāhi  
wi dha Wiadhi  
pincodny  
beeh  
gamich  
domiarte  
rest only

71.40

Biblioteka Uniwersytetu  
MARIII CURIE-SKŁODOWSKIEJ  
w Lublinie

A 9922

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie  
Biblioteki